№ 40. Warszawa, dnia 5 (17) Maja 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

GENEZIS
KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dalszy ciąg. (*Ob. N. 39*).

Na tem kończy się przytoczenie Donata, ale rozwiązania nietrudno się domyśleć. Jakież wrażenie uczynić na nas może tak suche przytoczenie treści? Żadnego. — Ale baczny czytelnik zaraz spostrzega jaki tu jest bogaty materyał do wywołania najkomiczniejszych wrażeń w rozwinięciu téj treści, przez nakreślenie charakterów i skombinowanie sytuacyj. Marnotrawca sprzedał grunt dla zapłacenia długów. Wyobrażamy go sobie nędznym, głodnym, odartym; interesuje on nas wielkością swojego szału i krytycznem położeniem wielce zasłużonem. Ale w chwili gdy go mamy potępić, przejednywa on nas synowską pobożnością. Jest więc w nim coś dobrego. Niewolnik, który mu służy, musi to być jakiś niezdara, bo na innego nie zdobyłby się chudopachołek. Komiczna to więc figura, która posłannictwo swe spełnia niedbale i niezręcznie. Dopieroż, po wielu śmiesznych przejściach, zjawienie się skąpca nad odkrytym skarbem: tu talent komiczny mógł wywołać scenę istnie Molierowską i przeciągnąć ją aż do trybunału przed którym skąpiec zdobywa się na tysiączne wykręty, śmieszniejsze jedne od drugich, dając chciwości swéj folgę. W tém potępia go znalezione pismo, zawierające zapewne morał i dowodzące przezorności ojca, który znał widać usposobienie syna i dzisiaj on ufniéj oddaje mu skarb, pewien że po latach dziesięciu próby nauczył się lepiéj szanować mienie. Ale pismo to nabiera zgoła innego znaczenia w chwili, gdy pieniądze przywłaszczył sobie skąpiec, staje się ono obarczającym go dokumentem.— Otoż jest w tem wszystkiem intryga taka jakiéj żądał Arystoteles: jedna, zupełna, złożona z części nie mogących być naruszonemi bez rozerwania całości. Treść téj komedyi bogatsza jeszcze musiała być w wypadki i większą liczbą uczuć urozmaicona, musiał tam prawdopodobnie wchodzić jakiś stosunek miłosny, gdyż oto ułamek jaki znajdujemy w Meinekem, należący do téj komedyi. — „Czyż Miłość nie jest największem ze wszystkich bóstw, i czy nie największéj czci doznaje pośród innych. Niema w istocie człowieka, jakkolwiek ten byłby skąpym lub szczodrym w swem życiu, któryby części swych dóbr nie poświęcił temu bóstwu. Miłość tedy, jeśli przychylna jest ludziom, radzi aby korzystali póki młodzi. Ale ci, co ze zwłoki w zwłokę, opóźniają aż pod starość wypłatę długu, ci z lichwą oddać muszą procent za stracony czas". Widocznie tu jakiś znawca miłosnych spraw popycha opieszałego, lub stara się w nim ocknąć nierozbudzone uczucie, bo powiada jeszcze, że: „stosownie do gustu niektórych ludzi, muzyka roznieca miłość", a kończy tem zastrzeżeniem:— „Jeżeli śmiałość odbierzesz zakochanemu, jest to człowiek zgubiony, i niéma co z nim robić, tylko zapisać go w liczbę płaczków".

Osnowa komedyi *Zjawisko*, jest jeszcze prostszą a tak znakomicie poprowadzoną i świeżą, że zdaje się jakoby była napisana wczoraj.—Fidon miał syna z pierwszego małżeństwa. Kobieta, z którą wszedł w powtórny związek małżeński, kochała się przedtem w jednym ze swych sąsiadów, i owocem téj miłości była córka urodzona przed zamążpójściem matki. Wychowywała ona ją potajemnie w oddalonéj komnacie domu sąsiadującego z domem jéj męża, zapewne za umową z właścicielem, i w taki oto sposób urządziła się aby się z nią widywać a nie obudzić podejrzeń męża: po przebiciu muru rozgraniczającego oba domy, udała że komnatę, w któréj zrobiła sobie wyłom, przeznacza na objaty bogom. Zręczna matka siatką z bluszczu i kwiatów zasłoniła otwór, i tym sposobem pod pozorem praktyki religijnéj, widywała się z córką wprowadzając otworem tym dziewicę do siebie. Ale raz pasierb jéj zastał je razem. Na widok tak pięknéj kobiety, po raz pierwszy spostrzeżonéj w miejscu które uważał za poświęcone bogom, zdjęło go zdziwienie i lęk niemały, tak jakby mu się ukazało bóstwo. Ale powoli doszedł on natury tego zjawiska, a wtedy taką dla dziewicy téj zapłonął miłością, że nie było innego sposobu wyleczenia go z namiętnego szału, tylko oddać mu ją za żonę. Życzenie młodzieńca spełnia się za powszechną zgodą.

Prześliczna treść, zawierająca materyał do najróżnorodniejszych uczuć. To już nie komedya, to cały dramat, którego osnowy nie wyparłby się ani Dumas syn, ani nawet Bajron. Ileż to wdzięku mieści się we wprowadzonem tu uczuciu macierzyńskiéj miłości, ile obaw serce wprawiających w drżenie; a jaki zręczny sposób wyjścia z tajemnicy która raz przecie musiała się skończyć. Żarliwa pobożność ojców bizantyjskich nie pozostawiła ani śladu wykonania tego pięknego pomysłu, dbałość o zbawienie duszy pozbawiła nas zapewne arcydzieła prostoty i uczuciowéj prawdy.

Pozostał natomiast prawie całkowity plan i sporo wierszów z innéj komedyi p. n. *Plokion*. Pośród ruin Menandrowskich jest to jedna z najwyraźniejszych, i dla tego też francuzki badacz, W. Guizot, przedsiębierze na niéj istnie Cuvie-

rowskie dzieło. Pójdźmy za jego indukcyami, które możemy przyjąć albo odrzucić, ale które przyczynią się nam do coraz bliższego poznajomienia się z greckim poetą tak okrutnie pokrzywdzonym.

Jak też to trudno stąpać po zgliszczach!... Chcemy odbudować roztrąconą komedyę, i zaraz na wstępie napotykamy wątpliwość. Co ma wyrażać sam tytuł? Dosłownie wyraz ten znaczy: *naszyjnik*, ale może znaczyć także imię kobiety. Może właściwe znaczenie wyjdzie z przebiegu treści.

Rozmawiają z sobą dwaj starce.— Jeden, któremu niech będzie na imię Symon, ma żonę Korbylę, brzydką i imponującą, którą zaślubił niegdyś dla posagu. Opowiada on Menedemowi, sąsiadowi swemu, jako ona zmusiła go do wystawienia na sprzedaż młodéj, zręcznéj i przyjemnéj niewolnicy, którą podejrzywała o stosunki z mężem: odważny z daleka, mści się na żonie za własną uległość, nie szczędząc jéj złorzeczeń. „Oczywiście, powiada, posażna dziedziczka może teraz spać jak zabita: spełniła ona wielki i pamiętny czyn, wypędzając z domu tę która ją niepokoiła i któréj postanowiła się pozbyć; a teraz oto, po wyniosłem czole, po zwycięzkiéj minie, każdy odwróciwszy się pozna Korbylę: boć wszyscy dobrze znają moją żonę, a raczéj pana, którego ja własnością jestem. Ah! ty, szkaradna między najszkaradniejszemi! Dobrze do ciebie stosuje się przysłowie: w krainie małp, powiedzianoby o tobie żeś brzydka jak osieł: nie mówmy o téj nocy przeklętéj która otwarła szereg wszystkich moich nieszczęść. Jakiż ja błąd popełniłem, niestety, za szesnaście talentów zaślubiając tę Korbylę, lichą kobiecinę nie mającą łokcia wysokości, a coza pycha! Czy podobna znieść podobną pychę? O nie! wiedzą o tem Zeus Olimpijski i Atene! I ja to musiałem wydalić moją małą służebnę, która prędzéj wykonywała rozkazy moje niżelim ja je wydał! I któż mi ją powrócić może? Teraz, do posługi mam tylko niewolnika któregom usunął, dla tego że się nie czesał, a brudnym będąc, drapał się tak podając mi pić, że ze wstrętu przyjąć napoju nie mogłem."

Zdaje się nawet że złoczeczenie to, jakkolwiek gwałtowne, nie starczyło goryczy Symona, niebawem bowiem zaczyna na tenże sam temat i w tym samym tonie:—„Zaślubiłem demona mającego posag. Czyż nie mówiłem ci tego, prawda? Dom mój i grunta pochodzą od niéj: ale ażeby się stać ich właścicielem, musiałem wziąść i ją, a to najsmutniejszy targ... To przynajmniéj, że nie ja sam jeden mam ją za taką straszną: dokucza ona wszystkim, synowi mojemu tak samo jak mnie, a córce więcéj jeszcze jak nam obu."— Na to Menedem odpowiada: „To co mi ty powiadasz, okropnem jest, wiem dobrze."

Skoro Menedem, wie o tem, to pewnie i sam musiał mieć do czynienia z podobną Korbylą; inaczéj dlaczegożby mówił:—„Ona mi się zaczęła okrutnie podobać od czasu jak umarła".

Ale, chociaż wdowiec, Menedem także szczęśliwym nie jest. Żona jego mogła być równie zazdrosną i dokuczliwą, ale była to Korbyla bez posagu. Sąsiad ma przynajmniéj na pociechę szesnaście talentów: z takiéj sumki użytkowałby dziś spokojnie Menedem. Lecz on nie posiada nic, tylko córkę na wydaniu. Myślał że mu się może uda wydać ją dobrze zamąż; — gdzietam! ubogiemu zawsze wiatr w oczy. Podczas jednéj uroczystości obchodzonéj w nocy, córka jego stała się ofiarą jakiegoś rozpustnika, który znikł w mroku i tłumie. Pamfilia długo ukrywała swój stan przed ojcem, ale nareszcie ukryć go nie mogła, i wtedy to nieszczęśliwy Menedem przeniósł się ze wsi do Aten, zapewne w celu wyszukania winowajcy i pociągnięcia go przed rygor prawa, które obowiązuje każdego Ateńczyka, przez związek małżeński naprawić wyrządzoną krzywdę niewieście. Tymczasem nadeszła krytyczna chwila. Słychać krzyk i płacz w komnacie Pamfilii. Cnotliwy i wierny niewolnik Parmenon, nie wiedząc co się działo przedtem, nie wie co się dzieje i teraz. Stoi samotny przededrzwiami pana: bojaźń, gniew, podejrzenia, litość, boleść, miotają nim na przemiany, a jeden ze znających tę komedyę *) utrzymuje że uczucia i wrażenia tego niewolnika poeta grecki oddał z cudownem życiem i świetnością. Pyta się nareszcie Parmenon co to wszytko znaczy, a dowiedziawszy się, woła:—„Ah! trzykroć nieszczęśliwi ci nędzarze (jak Menedem), którzy żenią się i zostają ojcami. Nie szalonyż to człowiek który rzuca się w taki odmęt, nie opatrzony w to co najpotrzebniejsze! Niechaj mu przyszłość przyniesie jakie najpospolitsze w życiu ludzkiem nieszczęście, — a nie ma on dostatków zabezpieczających go od przeciwności. Życie jego jest nędzne, otwarte na cztery wiatry; niéma troski którąby nie była jego udziałem, niéma dobra od którego nie byłby odłączonym. Znam ja tego jeden tak bolesny przykład, że mogę udzielać rady wszystkim ludziom... Mój pan źle się wybrał: kiedy mieszkał na wsi, nikt nie wiedział że on pochodzi z klassy tych ubogich obywateli którzy nawet nie idą w rachunek państwa: nędza jego okrywała się samotności płaszczem... Każdy nędzarz, pragnący żyć w mieście, sam własnowolnie szuka nadmiaru rozpaczy: bo jak zobaczy tam innego człowieka, żyjącego w rozkoszach i próżnowaniu, mocniéj jeszcze uczuje surowość i nędzę własnego życia. Czyż wreszcie pola nie są dla wszystkich ludzi szkołą cnoty i ojczyzną wolności?".

Jakkolwiek filozof, Parmenon omylił się na ten raz, a Menedem dobrze zrobił przemiosłszy się do Aten: tam on bowiem, i to w łonie saméjże rodziny Symona, odkrył winowajcę. Syn Symona, Eschin, poznał w Pamfilii dziewicę którą ukrzywdził w przystępie szału wrzawliwéj uroczystości. A więc ślub nastąpić musi, Symon się temu nie przeciwi, a wszak Menedem na tem jego zapewnieniu poprzestać może? Niekoniecznie. Parmenon pomylił się co do faktu trafunkowego ale nie co do zasady. Nędza i szczęście rzadko zasiadają przy jednem ognisku, i same zadatki powodzenia bywają tylko blichtrem. „Nie tak się ma w tem życiu ze szczęściem, o Parmenonie!.. ktoś doń powiada w komedyi,— jak z drzewem, które jednym rzutem wystrzeliwa całkowite z jednego korzenia: zło i dobro są to dwa konary rosnące obok siebie; tak chce natura, która czasami też ze zła wyprowadza dobro".

Menedem miał zyskać szczęście: w jednéj i téj saméj chwili córka jego miała po długich cierpieniach odzyskać pokój, dziecię nowonarodzone— ojca: czegoż jeszcze brakuje? Oto zezwolenia Korbyli. Ona, która za cały wdzięk miała posag, pozwoliż synowi połączyć się z kobietą która za cały posag posiada wdzięki? Bynajmniéj, i w tem liczy na zwyczajną uległość męża. „Jużciż ty, — powiada doń, — nie chciałbyś zapewne mieć synowéj którąby ci była nienawistną, i któréj nie mógłbyś widywać często?"... tak dalece czcigodna Korbyla przekonaną jest że bogaci i ubodzy stanowią dwa osobne gatunki ludzi, jeden obcy drugiemu! Ma ona inne względem syna swego zamiary, i odpowiedniejszą mu przeznacza małżonkę. „Eschin, powiada, matce swéj tylko posłusznym jest, i zaślubi naszą krewnę".

Ale przychodzi chwila, kiedy i tacy tchórze jak Symon, z samego nadmiaru strachu zrywają się na nogi, i znajdują dość mocy by rzucić swoje *veto*. Gdy Menedem, oburzony odmową zadosyć uczynienia córce, oznajmia że wystąpi przed sądem by siłą prawa wyjednać je sobie, wtedy i Symon, który nie ma tych samych racyj co jego żona ażeby być stronnikiem posażnych małżeństw, oświadcza również że nie chce korzystać ze swéj zamożności by spełnić nieuczciwość, i że w sądzie będzie popierał swojego sąsiada. Nigdy go jeszcze Korbyla nie widziała w takim stanie stanowczości, zdumiona tą nagłą powagą mężowską, ustąpiła, żądając tylko maleńkiéj zwłoki.

Oto jest mniéj więcéj osnowa i plan *Plokiona*, który, z pomocą zacytowanych wyjątków, wzmianek z różnych pisarzy i kommentatorów zebranych, udało się odbudować Guizotowi. Ale jak się rozwiązywał węzeł saméj intrygi, tego ze wszystkich tych ułamków dojść niepodobna. Węzłem tym jest właśnie poznanie Pamfilii przez Eschina. W jaki sposób ono się stało, jak mógł on poznać osobę prawie sobie nieznaną?... Dlaczego młody swawolnik, który uciekł od swéj ofiary, teraz sam przyznał się do niéj?... Toż to właśnie stanowi charakter, największy interes komedyi. Tu mogą być same domysły, i sam tytuł nastręcza jeden. Gdybyśmy tytuł ten wytłumaczyli przez *naszyjnik*, to przedmiot ten mógłby wytłumaczyć poznanie, Eschines mógł mu się przypatrzeć dość zblizka i po przedmiocie poznać właścicielkę. Ale Plokion jest także imieniem kobiety, często nadawanem niewolnicom, kto wie zatem czy nie jest to owa niewolnica wypędzona z domu Simona, która poznawszy się z Pamfilią, po jéj katastrofie, mogła być narzędziem skojarzenia się stosunków między obu domami, i wiedząc co zaszło, naprowadzić Eschina na drogę domysłu. Tym sposobem rola jéj w téj komedyi byłaby ważną, tytułową.

Jakiekolwiek jednak nadamy temu rozwiązanie, w każdym razie przyznać musim, że jak ta, tak i wszystkie dotychczasowe osnowy komedyi Menandra są pierwszorzędne. Uczeń zachował doskonale rozsądne i postępowe wskazówki mistrza wynikłe z rozważania dramatycznéj natury komedyi. Jest tam plan oparty i ułożony na zasadzie jedności przedmiotu, jest zawiązanie intrygi dramatycznéj i jéj rozwiązanie, są wreszcie motywa naturalne, rzeczywiste, zgodne z charakterami wprowadzonych osób, wypełniające bieg akcyi; a co najwidoczniejsza, to, że już wówczas komedya za główne tło i interes sztuki przyjmuje kobietę i miłość, — tak samo jak komedya dzisiejsza. Z takiego osmucia planu komedyi Menandra okazuje się nadto, że tam główna uwaga skierowaną była nie na cząstkowe dowcipy i złośliwości, jak w komedyi dawnéj; nie na proste wytykanie śmieszności, jak w komedyi średniéj; ale na przedstawienie osoby ludzkiéj w kolejnem rozwijaniu jéj charakteru, ze wszystkiemi właściwościami natury danéj. Ileżby to do skarbnicy moralnych dziejów człowieka przybyło typów skończonych, gdyby dzieła Menandra i Filomona pozostały były w całości. Nie męczylibyśmy się nad domysłami, ale rozbieralibyśmy postacie, tak jak dziś rozbieramy Tartuffów, Harpagonów, Łatki i Geldhaby; a cożby to była za rozkosz mieć żywe przed oczami i porównywać do dzisiejszych, postacie z przed dwóch tysięcy lat! A że takie typy istniały tam i były przez Menandra obrabiane, dowodzą same tytuły jego zaginionych w największéj części utworów: Nie-

*) *Aulus Gellius.* Noctes Atticae. II. 23.

dowierzający, Ptaszek, Zabobonny, Ponury, Oszczerca, Pochlebca, i t. p.

(*d. c. n.*)

WIOSKA ZAPOMNIANA.

(Z NEKRASOWA. PRZEKŁAD NIEDOSŁOWNY).

U wójta Własa uboga Neniła
O drzewo—chatę naprawić—prosiła.
—„Wynoś się!"—burknął, sapiąc po obiedzie.
—„Poczekaj, Własie!... Niech no pan przyjedzie...
Sam się przekona, że nędzna chacina...
Każe dać drzewa"—myśli starowina.

Niedobry sąsiad—zdzierca niegodziwy—
U chłopków odciął spory kawał niwy...
Temu, owemu dał w łapę—i cicho...
—„Pan niech przyjedzie: będzie tobie licho!"
Myślą kmiotkowie: „Pan poszepnie słowo—
A niwa do nas wróci się na nowo."

Pokochał Handzię swobodny najemiec...
Lecz cóż!... Nie daje mu dziewczyny Niemiec,
Naczelny rządca...—„Nie bój się, kochana!"
Cieszy ją chłopak: „Czekajmy na pana!"
I wszyscy w biedzie—i starzy i mali:
—„Pan niech przyjedzie!" — chórem powtarzali....

Zmarła Neniła, a na cudzéj niwie
Sąsiad niegodny zbiera plon szczęśliwie...
Parobkom dawno porosły już brody;
Karabin dźwiga najemiec ów młody;
Handzi wesela już nie wróży „wieszcze"...
A pan nie jedzie i nie jedzie jeszcze...

Nareszcie wioskę owionął kurz biały...
Sześć koni ciągnie czarny wóz wspaniały...
Na wozie stary pan—w dębowéj trumnie...
Za wozem młody postępuje dumnie...
Sprawiono pogrzeb... Dzionek łzy osuszył....
Pan wsiadł do kocza—i do Moskwy ruszył...

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. Ob. (Nr. 39).

Doskonała równowaga między ruchem od środka i do środka jest genialnością. Naturalnie konieczną jest wtedy i szerokość ruchów.

Szwarc miał owe drugie zdolności—skupiające.

A nie tylko je miał, ale i wiedział o tém; przeświadczenie to chroniło go w życiu od wielu niewłaściwości, nadawało pewną równowagę jego chęciom i siłom: nie przedsiębrał nic, coby dlań było niemożebnem.

Rachował się ze sobą.

A miał nakoniec wiele zapału który w nim możnaby nazwać zaciętością w nauce. Umysł, który lubił na wszystko patrzeć trzeźwo, chciał widzieć wszystko trzeźwo, żeby zaś widzieć dobrze, trzeba wiedzieć dobrze. Nie umiał zgadywać—potrzebował znać.

To sprawiało, że nie uczył się nigdy przez połowę.

Jak pająk muchę, tak on przedmiot badany skwapliwie obmotywał siecią myśli, wciągał go w siebie, możnaby rzec wysysał i nakoniec przetrawiał.

Myśli jego miały przytém wysoką ruchliwość. Pożądał—naturalny wynik młodości.

Był samodzielny aż do zarozumiałości. Często-kroć odrzucał zdanie przyjęte ogólnie, właśnie dla tego, że miało za sobą powagę. Przyznać jednak należy, że wtedy starał się wynaleźć wszystko co było contra—nie znalazłszy ustępował. Miał przytém niemałą energię myśli i czynu.

Wszystko to stanowiło jego siły, jego broń, po części zdobytą już, po części wrodzoną. Zapomnieliśmy dodać, że posiadał jeszcze dwa tysiące rubli.

Zrachowawszy owe zasoby, wziął się do medycyny. Ale im z większym zapałem wziął się do niéj, tém więcéj rozczarował się z początku. On lubił wiedzieć, a tam trzeba było pamiętać... To lada kto potrafi, przynajmniéj jest to kwestya pamięci i woli, nie zaś rozumu. Należało mieć pamięć oczu, pamięć ręki, trzeba było jedno i drugie i dziesiąte włożyć sobie surowo do głowy umieścić od czasu do czasu jak zboże w spichlerzach. Była to praca niemal rzemieślnicza, organizm umysłowy nie korzystał z tych zapasów, bo się nie przetrawiał ani przerabiał. Brakło tam pożywności. Filozofia fizycznego ustroju organizmów może dorównać subtelnością i ogromem rezultatów wszystkim innym, ale Szwarc zaczął dopiero poznawać sam organizm; wskazówek czy istnieje jakaś filozofia tych nauk, nie dano mu dotychczas żadnych.

Ale wziąwszy się raz, trzeba było brnąć daléj. Brnął.

A techniczna strona zajęć naukowych była przykra, niewdzięczna, pełna utajonych trudności niespodziewanych, tajemnic, nieraz ciemna, często ledwo dojrzana, najczęściéj wstrętna, zawsze pracowita.

Rzekłbyś że tu natura wypowiadała wojnę umysłowi ludzkiemu.

Szwarc łamał się z trudnościami i szedł daléj.

Owa technika miała jeszcze jedną stronę smutną w oczach Szwarca: źle wpływała moralnie.

Odkrywała koniec życia, nie wskazując czy istnieje ciąg dalszy. Zdejmowano tam bez najmniejszego wahania zasłonę ze śmierci. Cała ohyda téj podziemnéj robotnicy ukazywała się tam z nagą bezczelnością. To co było umarłego, było zarazem cyniczną obietnicą dla żywych. Śmierć przy jasnym dniu, zdawała się mówić: do widzenia w ciemnościach! Była niby zapowiedzią noszącą w sobie desperackie wskazówki bezsilności człowieka w obec téj siły nieubłaganéj, złośliwéj, bezczelnéj i obmierzłéj zarazem. Ta właśnie siła widziana twarz w twarz, sama budziła w młodych umysłach gwałtowną reakcyę.

Reakcya ta objawiała się tak:

— Nie traćmy czasu, używajmy życia, bo prędzéj czy późniéj, wszystko dyabli wezmą!

Przy tych zajęciach, delikatność uczucia zacierała się stopniowo; obojętność wyradzała się w brutalność, ambicya w zawiść, miłość przechodziła w namiętność, namiętność w popęd. Miłość była jak słońce widziane przez zakopcone szkło: czujesz ciepło, ale nie widzisz światła.

Szwarc bronił się tym wrażeniom, otrząsał się z nich, odrzucał je i szedł daléj.

Nakoniec należało być wiernym naukowéj zasadzie. Kto ma zaufanie do jednéj drogi, nie go ma do drugiéj; ta, którą obrał wydaje mu się najlepszą. W téj, którą Szwarc obrał wszystko od czasów Hipokrata opierało się na doświadczeniu. Wzrok, słuch, smak powonienie i dotykanie, oto jedyne kryterya na których opiera się ta już dziś wielka budowa.

Tak wierzy zwłaszcza młodzież, jako skrajniejsza we wszystkiém od starszych. Co przeszło w naukę inną niedoświadczalną drogą—było wątpliwém. Każdy według własnych pojęć sądzi. Przypuszczenie czegoś stojącego po za empiryą a jednak prawdziwego, przez takie szkła wydaje się lekkomyślnością. Istnieją tylko rzeczy już zbadane i jeszcze niezbadane. Ogniwa przyczyn i skutków są koniecznością, lub myślą, ale dopiero w człowieku; historya kroniką mniéj więcéj skandaliczną; prawo opartém na doświadczeniu modus vivendi społeczeństw; spekulacya chorobą umysłową.

Szwarc nie bronił się tym myślom, bo mu nie przeszkadzały iść daléj.

Zresztą pracował.

III.

Upłynął miesiąc. Wieczór był jesienny pogodny—słońce z wolna gasło na wieżach kijowskich i na dalekich mogiłach stepowych. Na strychu w mieszkaniu Szwarca i Gustawa widno było jeszcze. Obaj schyleni nad pracą siedzieli w milczeniu, chwytając skwapliwie ostatnie blaski wieczoru. Gustaw niedawno był wrócił z miasta; był blady i zmęczony, sapał więcéj niż zwykle, na twarzy znać mu było jakąś niespokojność, gorycz a nawet ból niby tajony, a jednak widoczny w gorączce oczu. Milczeli obaj, widać jednak było, iż Gustaw chciał przerwać to milczenie, bo nieraz zwracał się do Szwarca, ale jakby z trudnością przychodziło mu wymówić pierwsze słowo, znów zatapiał się w książce. Wreszcie widoczna niecierpliwość wybiła mu na twarz, porwał czapkę ze stołu, wstał i spytał.

— Która godzina?

— Szósta.

— Dla czego nie wybierasz się do Potkańskiéj? Przecież tam do niéj codzień chodzisz?

Szwarc wstał i zwrócił się ku Gustawowi.

— Gustawie! sam i na wyraźne jéj żądanie zaprowadziłeś mnie do niéj. Mniejsza o to—nie chcę mówić o tém, co dla nas obudwóch byłoby przykre; zresztą rozumiemy się doskonale. Otóż nie pójdę do Potkańskiéj ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Masz na to moje słowo i moją rękę.

Stali chwilę w milczeniu, Szwarc z wyciągniętą naprzód ręką, Gustaw wahający się i zmieszany drażliwém położeniem — wreszcie ścisnął rękę Szwarca.

Widocznie słowa obudwom przychodziły z trudnością; jeden nie umiał zdobyć się na serdeczniejsze wyrazy, drugi na serdeczniejsze podziękowanie.

Za chwilę rozstali się.

Dziwne to nieraz bywają uczucia, a sprzeczne z tém, co nam przedstawiają jako nagrodę szlachetnego czynu. Szwarc przyrzekł Gustawowi nie widywać wdowy. Czy ją kochał czy nie, zawsze to była z jego strony ofiara, bo w jego mozolném a jednostajném życiu ona była jedynym jaśniejszym punktem, koło którego lubił krążyć myślą. Niechby marzenie o niéj było tylko zapełnieniem owych chwil oderwanych od ciężkiéj pracy a poświęconych na spoczynek i swobodę umysłu—zrzekać się takich chwil było odbierać powab odpoczynkowi, było to wy



Zabawa w parku Pragskim w dniu 12-go Maja 1872 roku. Rysunek Ksawerego Pillatego.

rywać próżnię w życiu, tam gdzie uczucie mogło kiełkować i zakwitnąć.

Szwarc po krótkim namyśle zrobił to bez wahania.

Zrobił ofiarę.

A jednak, kiedy Gustaw wyszedł ze stancyi, na twarz Szwarca wybił wyraz niechęci, niesmaku, gniewu nawet. Byłże to żal przeszłości lub spełnionego przed chwilą czynu?

Nie.

Kiedy Szwarc wyciągnął rękę do Gustawa, ten ostatni wahał się z jéj przyjęciem. Nie przyjąć ofiary dawanéj przez duszę energiczną, jest to okryć sam czyn ofiarny odcieniem śmieszności i to w przekonaniu samego ofiarodawcy; jest to być niewdzięcznym; jest to rzucić ziarno głuchéj nienawiści w bujną niwę miłości własnéj.

Ale przyjąć ofiarę współzawodnika, to dla duszy bogatéj w dumę jest podłożyć swoje *ja* moralne pod czyjeś nogi, to przyjąć gwałtem wtykane groszaki jałmużny w rękę, co się po nie nie wyciągała. Ma to coś z lekkiego kopnięcia. Duma woli być wierzycielem niż dłużnikiem.

Dla tego Gustaw wyszedłszy na ulicę skrzywił usta gorzką ironią, a przez zaciśnięte wargi mruczał do siebie z cicha.

— Coraz to lepiéj! Łaska, łaska! Kłaniaj się teraz codzień panu Szwarcowi i dziękuj za łaskę. Wesołe życie!

I zadumał się głęboko a przykro. Przestał nawet myśleć o sobie, marzył tylko boleśnie. Czuł w duszy jakiś odgłos smutny a gwałtem dopominający się chociby jednéj chwili szczęścia. Głos ten dźwięczał w nim jak urwana struna. Rozdzieliła się w nim myśl i dusza. Jedna połowa zmęczona wołała na gwałt spoczynku, druga ponura a sprężysta rwała się jeszcze do życia. Jedną połową myśli widział jeszcze światło i cel, drugą zwracał chmurnie w nicość i ciemność. A było jeszcze na dobitkę coś takiego w tym zgryźliwym człowieku, co drwiło z własnego bolu; niby jakiś demon złośliwy wskazywał mu jedną ręką postać jego własną, bladą, brzydką, skurczoną, drugą niby w obłokach niby w świetle poranku Potkańską w całéj jéj przepysznéj piękności i marmurowym spokoju.

Gdy tak rozrywany gwarem wewnętrznéj walki, szedł sam prawie nie wiedząc dokąd, nagle usłyszał za sobą dobrze znany głos śpiewający basem wesołą piosenkę:

„Hop! hop! hop! hop!
„I podkówka tego kuta i t. d.

Obejrzał się—był to Wasilkiewicz z Augustynowiczem.

— Dokąd idziesz Gustawie? spytał pierwszy.

— Ja?... ha! dokąd — (spojrzał na zegarek) Do wdowy jeszcze zawcześnie!.. Tymczasem idę do klubu.

— No, to idź prosto do wdowy.

— Co? dla czego?

— Biada ci! zawołał Augustynowicz wzniosłszy ręce do nieba, i nie zważając na przechodniów, zaczął głośno deklamować:

„Zamek, na którym brzmiało wesele,
„Wieczna żałoba pokryje,
„Na wałach dzikie porośnie ziele,
„U wrót pies wierny zawyje.

— Nie masz poco chodzić do klubu—dorzucił Wasilkiewicz.

— Cóż się stało?

— Smutek tam lęgnie się ze zgrozą—prawił Augustynowicz.

— No gadajże co się stało?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Okropne!

— Wasilkiewicz powiedz za niego po ludzku!

— Władza uniwersytecka zamknęła nasz klub. Ktoś doniósł, że się tam studenci zbierają.

— O któréj się to stało?

— Dwie godziny temu.

— Trzebaż się iść dowiedzić na miejscu.

— Nie radzę ci. Wsadzą do kozy.

— „Białe ci dłonie skrępują powrozem..."

— Augustynowicz cicho bądź! Dla czegoż tego nie zrobili wieczorem? Byliby nas połapali jak ryby w matni.

— No, chodziło więcéj o zamknięcie, niż o połapanie nas; gdyby jednak ktoś teraz przyszedł, złapaliby go niezawodnie.

— Gdzieżesz wy idziecie?

— „Jak na hasło trwogi, klany szlą krzyż ognisty"...

— Prosiłem cię, żebyś był cicho!..

— „Tak mężny Rodryg"...

— Tak, tak, przerwał Wasilkiewicz—idziemy ostrzedz innych, i dla tego bądź zdrów albo chodź z nami...

— Nie mogę.

— Gdzie idziesz?

— Do Potkańskiéj.

ZARYSY EGIPTU.



ŚWIĄTYNIE I PAŁACE KRÓLEWSKIE.

— Bądź zdrów!

— Do widzenia!

Gustaw zostawszy sam, zatarł ręce: na chwilę uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego chmurną twarz. Cieszył się z zamknięcia klubu, zniknęła bowiem obawa, że wdowa dowiedziawszy się o postanowieniu Szwarca, może znów zechce chodzić do klubu, by go tam widywać. Obawa była uzasadniona: Gustaw pamiętał, że mimo prośb i perswazyi, zaledwo tylko obietnicą przyprowadzenia Szwarca do jéj mieszkania, mógł ją powstrzymać od tego niestosownego kroku.

Teraz nie miał się już czego obawiać.

Za chwilę pociągnął dzwonek w mieszkaniu wdowy.

— Jak się pani miewa?—spytał służącéj.

— Zdrowa, tylko chodzi po pokoju i gada do siebie, odrzekła służąca.

Gustaw wszedł do pokoju.

Mieszkanie wdowy obejmowało dwa pokoiki z oknami wychodzącemi na ogród—pierwszy był niby salonikiem, drugi sypialnią do któréj teraz wszedł Gustaw. W sypialni wierzchnia część okna łukowato wycięta i oddzielona wązką listwą drewnianą miała kolorowe szyby ułożone w rozetę niebieską i czerwoną na przemian. W jednym kącie stał stolik mahoniowy okryty miękko strzyżoną aksamitną powłoczką, na którym były dwa fotografowane portrety. Jeden w drewnianych inkrustowanych ramkach przedstawiał młodego człowieka o wysokiém czole, blond włosach i pięknych arystokratycznych rysach twarzy—to był Potkański; na drugim była wdowa z maleńką biało ubraną dziewczynką na kolanach. Przed portretami leżał wianek z nieśmiertelników obwinięty krepą i gałązka suchego mirtu. *(d. c. n.)*

Z KATEDRY.

Odczyty D-ra Kosmowskiego: „*O hygienicznem zachowaniu się w życiu a w szczególności o hygienie dzieci*", nastręczyły nam kilka uwag które wypowiedzieć ośmielamy się na wstępie. Każdy przyzna że przedmiot o jakim odczyty traktować miały, był ze wszech miar zajmującym, albowiem tyczył się jednego z najważniejszych okresów życia człowieka, mającego wielki wpływ na dalszy jego rozwój. W obec rozbudzonéj u nas powszechnie dążności do wzbogacania wiedzy pod każdym względem, odczyty te powinny były zająć ogół publiczności. Wchodząc na pierwszy odczyt spodziewaliśmy się tego; lecz jakże zdziwieni byliśmy znalazłszy małą garstkę osób zgromadzonych, i to przeważnie mężczyzn, kobiet zaś bardzo mało,—bardzo mało matek które wychowując swe dzieci mogły były wynieść z odczytu niejedną zdrową radę, niejedną wskazówkę jak postępować z temi wątłemi istotami aby je ustrzedz od szkodliwości i wychować na ludzi czerstwych, pomocnych społeczeństwu. Nie chcemy obwiniać publiczności o obojętność w posłuchaniu rad i wskazówek, tém bardziéj tyczących się tak ważnego przedmiotu jakim jest wychowanie dzieci od czasu ich niemowlęctwa,— i chętniéj przypiszemy nieliczne zgromadzenie się póżnemu ogłoszeniu o dniu i godzinie pierwszego odczytu, aniżeli pogodzie wabiącéj na przechadzkę. Powié kto że przebycie dwóch godzin na świeżém powietrzu więcéj czyni zadosyć wymaganiom hygieny aniżeli dwugodzinne siedzenie w zamkniętych murach. Przyznajemy słuszność najzupełniejszą; — ale sądzimy że na wszystko czas znaleźć można, i że pomnąc o pokrzepieniu ciała świeżém powietrzem i przyjemną rozrywką, nie powinniśmy zapominać także o pokrzepieniu ducha zajęciem pożytecznémi przyjdatném. Odczyty następne sprowadziły już większe grono kobiet i słuchaczów w ogóle (choć i tak dużo miejsc pozostało próżnych w niewielkiéj sali Towarz. Dobroczynności). Z przyjemnością patrzyliśmy na ten dowód rozbudzonego zajęcia w publiczności liczniéj już nieco zebranéj.

Odczyty D-ra Kosmowskiego były ze wszech miar ciekawe i pożyteczne; treść interesująca każdego, sposób wypowiedzenia jasny i zrozumiały, myśli nie czczą frazeologią upstrzone lecz wywiedzione gruntownie i wsparte na danych z fizyologii.— Na wstępie, prelegent określiwszy cel, zakres, potrzebę hygieny jako środka dążącego do uszczęśliwienia pojedynczych jednostek a przez to i całego społeczeństwa wskazaniem odpowiedniego sposobu życia w zdrowiu,—podzielił życie na okresy (w liczbie 6) i opisał treściwie funkcye organizmu których prawidłowe odbywanie się stanowi prawidłowe życie czyli zdrowie. Mówiąc o trawieniu, podzielił pokarmy za przykładem *Liebig'a*, według fizyologicznéj zasady ich przemian w organizmie na: plastyczne (tkankotwórcze) i oddechowe (ciepłotwórcze), i mówił o nadużyciu i niedostatku pokarmów oraz o skutkach ztąd wynikających; niemniéj o ważności wyboru pokarmów odpowiednio do wieku, czyli do ilości i jakości soków trawiących. Przy oddychaniu prelegent wspomniał o dobrém i złém powietrzu oraz o wpływie jednego i drugiego na organizm. Daléj o pielęgnowaniu skóry i ważności tego przeziewu skórnego będącego dopełnieniem oddychania przez płuca. Następnie była mowa o ruchach i potrzebie ich w granicach umiarkowanych dla rozwoju mięśni i należytéj przemiany materyi, bez wysiłku z jednéj, i zaniedbania z drugiéj strony. Tu nastręczyły się uwagi o przeciążeniu robotników fabrycznych i t. p. pracą zbyt uciążliwą i za długo trwającą dziennie, a do tego wśród antihygienicznych lub wprost szkodliwych warunków fabryk. Zaiste czas już by człowieka nie uważać za narzędzie do zapełniania kieszeni, ale ocenić jego pracę sumiennie i postawić go przytém w warunkach któreby nie podkopywały zdrowia!

Z kolei opisu funkcyj prelegent wspomniał o funkcyi mózgu i o dostarczaniu mu pokarmu duchowego w postaci umysłowéj pracy odpowiednio zastosowanéj do rozwoju. Wreszcie funkcya rozradzania nastręczyła sposobność do zastanowienia się nad małżeństwem ze stanowiska fizyologicznego, mianowicie co do wieku i rozwoju osób wchodzących z sobą w związki, co do stanu ich zdrowia i t. d. W końcu prelegent wspomniał o szkodliwości blizkiego pokrewieństwa między małżonkami.

Główną treść odczytów t. j. *hygienę niemowląt i dzieci*, prelegent rozpoczął opisaniem organizmu dziecinnego, jego właściwości i potrzeb (jak snu i t. d.). Z kolei przechodził zmysły dziecka słabo jeszcze rozwinięte, nieznaczną wrażliwość,— mówiąc zaś o wzroku położył główny nacisk na szkodliwość pozostawania dzieci w ciemności i na przesąd iż światło słoneczne jest szkodliwe dla wzroku noworodka.

Treścią odczytu *drugiego* było karmienie i pielęgnowanie niemowląt i dzieci. Mleko matczyne jest najodpowiedniejszym pokarmem dla noworodka; sama natura to wskazuje, przygotowując w organizmie matki pożywienie dla istoty którą ona ma wydać na świat. To też każda matka karmić powinna swe dziecko, bo karmienie jest nawet dla niéj saméj pożyteczne. Tylko w razie choroby, osłabienia, braku pokarmu w piersiach i t. d. matka może a nawet powinna uchylić się od tego świętego i miłego zarazem obowiązku. Wtedy mamka zastępuje matkę. Wybór mamki jest rzeczą nadzwyczaj ważną; o wielu warunkach pamiętać tu należy, którym mamka zadosyć uczynić powinna (odpowiedni wiek, zdrowie, pokarm dobry i t. p.); żywienie mamki, jéj zajęcia i t. p. powinny być właściwie uregulowane. O wszystkiém tém mówił prelegent, a także o dobroci mleka, jego ilości potrzebnéj dla dziecka, o częstości karmienia, do którego dziecka przymuszać nie należy etc.

Ważną epokę w życiu dziecka stanowi (powolne) odstawianie od piersi i zaczynanie żywienia go innemi także pokarmami (prócz mleka) — w miarę rozwoju organów a z niemi soków do trawienia służących, a głównie gruczołów ślinnych, których wydzielina (ślina) mająca własność trawienia ciał krochmalnych czyli zamieniania ich na cukier, dopiero w dalszych miesiącach życia wyrabia się w większej ilości. Ztąd to pochodzi szkodliwość ciał mączkowatych dla noworodka, który ich strawić nie może, bo nie ma dosyć śliny,— z tąd cała szkodliwość sztucznego od razu karmienia niemowląt, których śmiertelność w tym razie dochodzi do ogromnych rozmiarów.

Pominąwszy źródło chorób noworodków leżące w karmieniu ich z flaszki, gdzie mleko krowie kwaśnieje i psuje trawienie, spojrzyjmy na dzieci wśród nędzy na świat przyszłe. Nieszczęśliwe té istoty nie mogąc wyssać kropli pokarmu z zaschłéj piersi matki, w braku mamki, w niedostatku mleka krowiego, skazane są na śmierć głodową, na długie konanie z wyniszczenia przez karmienie ciałami, które jak kamienie zalegają w żołądku niestrawione. Ci których los większemi dostatkami obdarował, mogliby zaradzić téj strasznéj nędzy, przez składki na urządzenie mleczarń, z których ubogie matki opatrzone w odpowiednie świadectwa ubóztwa, mogłyby dostawać darmo pewną ilość dobrego mleka prosto od krowy dla nakarmienia swych niemowląt.— Myśl tę podniesioną przez prelegenta co do urządzenia mleczarń dla ubogich, na wzór podobnych zakładów istniejących w większych miastach Europy, — powinniśmy propagować, aby i u nas weszła w czyn. Leży to nawet w interesie zamożniejszych, dla dobra ich dzieci opływających we wszystko; albowiem one narażone są na zaraźliwe choroby, które znajdują wyborny grunt do rozwoju u dzieci nędzarzy umierających z głodu i niedostatku, i szerzą się daléj. Podajmy rękę nędzy a usuniemy źródło wielu chorób, które nie przebierają i porywają ofiary zarówno z suteren jak i z salonów.

Powiedziawszy o żywieniu dzieci nieco starszych, mlekiem z dodatkiem innych pokarmów, prelegent mówił dalej o odzieży dzieci, która nie powinna ani zbyt rozgrzewać ciała ani krępować jego ruchów. Wzgląd ten tyczy się głównie także mocnego powijania, które jak okowy tamuje swobodne ruchy noworodka, do jakich on ma instynktowy pociąg. Rozwiążmy tylko powijaki, a zobaczymy jak dziecko żwawo poruszać będzie oswobodzonemi z pęt nóżkami i rączkami. Trwając w tym złym zwyczaju, pozostawiamy niemowlęciu jedynie możność gimnastykowania mięśni oddechowych przez krzyk, choć i to nie zawsze, gdyż drugi zły zwyczaj kołysania dzieci sztucznie uspokaja je, sprowadzając zawrót głowy przez ustawiczne jednostajne wahanie. Kołyska ma i tę złą stronę, że przemocą niejako (często z fantazyi albo lenistwa mamki lub piastunki) zmusza dziecko do snu, który jest im wprawdzie nader potrzebny, ale o ile nim jest, sam

z siebie przychodzi bez naszéj pomocy, do tego tak niestosownéj jaką jest kołysanie. Jeżeli chodzi o uspokojenie dziecka, wystarczy do tego śpiew; skoro te nie pomoże, niezawodnie dziecko jest niezdrowe, a wtedy sztuczny sen kołysaniem sprowadzony, chwilowo ze szkodą dla dziecka zamaskuje lecz nie usunie cierpienia. Wreszcie wspomniał prelegent o pielęgnowaniu czynności skóry dzieci, przez kąpiele (z koniecznem następnie obcieraniem do sucha), niemniéj o zahartowywaniu przez obmywanie ciała, o chodzeniu dzieci i t. d.

W *trzecim* odczycie prelegent mowił o powietrzu i oddychaniu. Przytoczywszy skład chemiczny jakościowy i ilościowy powietrza, zwrócił uwagę na potrzebę tlenu, tego gazu niezbędnego do utrzymania życia, a potrzebnego dla dziecka w równéj prawie ilości co dla dorosłego, z powodu żwawéj przemiany materyi i wzrostu organizmu młodocianego. To też pokój dla dzieci przeznaczony powinien być obszerny, suchy, widny, na południe wystawiony, aby dostateczny w nim był zasób powietrza i światła, tych dwóch czynników niezbędnych dla organizmu.

O ile dziurkowatość ścian pokoju (t. zw. pory) nie wystarczy do dostania się świeżego powietrza od zewnątrz, należy pamiętać o przewietrzaniu za pomocą wentylatorów, palenia w piecu, i otwierania drzwi i okien. Niechaj nas od tego nie odwodzi obawa często płonna „zaziębienia" dziecka, od czego zazwyczaj wyprowadzają chorobę, aczkolwiek często z innéj przyczyny powstałą.— Temperatura w pokoju dziecinnym powinna być umiarkowana, ani zbyt nizka, ani zbyt wysoka, gdyż jedna i druga jest szkodliwą. Wilgoć w mieszkaniu t. j. w ścianach jest szkodliwą właśnie dla tego, że woda zapełniając pory w ścianach pokoju nie przepuszcza doń powietrza świeżego.

Jak z jednéj strony powietrze posiada warunki do ciągłego odświeżania się (przez wiejące wiatry, wydzielanie tlenu przez rośliny w świetle słonecznem i t. d.), tak z drugiéj mnóstwo w niém istnieje źródeł zanieczyszczenia, zepsucia, jak, oddychanie ludzi i zwierząt, rozkłady ciał organicznych i t. p. Skoro więc pamiętamy o tém aby do pokoju dostawało się powietrze z dobrego, czystego źródła, nie powinniśmy zapominać, by powietrze w samym pokoju nie psuło się. Utrzymujmy więc czystość jak największą tak ciała jak i sprzętów, nie zostawiajmy ciał rozkładowi ulegać mogących, nie pozwalajmy aby w pokoju dziecinnym suszyły się, pieluszki, bielizna, i t. p. Gdy zaś powietrze stało się nieznośnem, nie chciejmy poprawić go przez kadzenie czémkolwiek, albowiem środki woniejące nie naprawią złego powietrza, nie dodadzą mu tlenu, lecz tylko dołączą jeszcze jeden nieobojętny jeżeli nie wprost szkodliwy składnik do mięszaniny niezdrowych gazów.

Dalej mówił prelegent o *ząbkowaniu* i opisał w jakim porządku ząbki się wyrzynają u dzieci i jakie bywają przy tém nieprawidłowości.— W tym względzie istnieje wiele przesądów, albowiem od ząbkowania wyprowadzają często wszelkie choroby u dzieci w tym okresie zdarzające się, nazywając je: kaszlem, biegunką etc. „na ząbki". Otóż dopatrując się istotnéj przyczyny tych cierpień znajdziemy ją w błędném odstawieniu od piersi, w wadliwém żywieniu dziecka, w niedostatku świeżego powietrza i w innych t. p. szkodliwościach. Ząbkowanie w istocie może sprowadzić zadrażnienie w jamie ustnéj od mechanicznego wydobywania się zębów, ale trudno byłoby wytłómaczyć podrażnienia innych organów, wewnętrznych. Konwulsye u dzieci ząbkujących mniéj może zależą od irytacyi mózgu drogą reflexu nerwowego, aniżeli raczéj wprost od cierpienia mózgu, który jak wiadomo w tym okresie życia najbardziéj się rozrasta i przez to zapewne więcéj jest usposobiony do chorób. Inne także organy i tkanki dokształcają się w tym czasie u dziecka, np. rozwijają się gruczoły ślinne, kostnieją ciemiączka i t. d., co zapewne nie jest też bez wpływu na stan ogólny, tak iż łada przeoczyć się dająca przyczyna jest w stanie wywołać zaburzenia w organizmie.

Nakoniec prelegent mówił o *hygienie szkół*.— Przedmiot to nader ważny i mało u nas uprawiany; dla tego szkoda że był traktowany pobieżnie, zasługuje bowiem na wyczerpujący opis choćby w oddzielnym odczycie. Hygiena szkół jest ważną z tego względu że dzieci spędzają w szkole całe godziny wśród szkodliwych często dla zdrowia warunków. Dla ich usunięcia więc chodzi o wybór miejsca odpowiedniego na grunt szkolny, o budowę sal obszernych, widnych, suchych i dobrze przewietrzanych, o ilość uczniów aby nie było przepełnienia, o budowę odpowiednią ławek do siedzenia i pisania, aby dzieci nie opuszczały szkół z pokrzywionem, garbatém ciałem i z chorobami oczów.

W obec szkodliwości długiego siedzenia w ciężkiém powietrzu sal szkolnych,—co się wyraża na bladych twarzach i w wątłéj budowie ciała uczniów,—zachodzi potrzeba obowiązkowego zaprowadzenia w szkołach gimnastyki, którąby prostowała i rozwijała zastałe od siedzenia członki dzieci. Celem usunięcia wpływu złego trzymania się przy pisaniu etc. na ławkach szkolnych, zbudowano przyrządy, które przymocowane do ławki lub stołu opierają się o ciało dziecka w okolicy mostka i obojczyków, a przez to zmuszają do trzymania się prosto przy pisaniu etc. Model naśladujący taki przyrząd (zw. Heradhalterem *Schreber*'a) prelegent przedstawił na odczycie i pokazał zarazem sposób jego zastosowania.

Oto w krótkości cośmy usłyszeli w trzech odczytach Dra K. Wspomnieliśmy tu o rzeczach najważniejszych, i jeszcze raz powtarzamy że warto było być na odczytach, którym możnaby zarzucić chyba to że trwały prawie po dwie godzin każdy. *Dr. W. Mayzel.*

ZARYSY EGIPTU.

1. Piramidy. — 2. Świątynie i pałace królewskie. — 3. Grobowce mahometańskie. — 4. Lud.

II. ŚWIĄTYNIE I PAŁACE KRÓLEWSKIE.

Klimat i materyał w danéj miejscowości znajdujący się niezawodnie bardzo wiele wpływa na sposób stawiania takich nawet budowli, których przeznaczeniem jest posługiwać wyższym, duchowym celom. Pod wiecznie pogodném niebem Egiptu pod skwarnem słońcem podrównikowéj strefy, otwarty strop i wysokie cieniste granitowe ściany połączone kolumnadami przypominającemi palmowe zagaje, oazy, musiały się stać wyrazem wdzięcznéj i nabożnéj myśli narodu, który nad każdém wnijściem łączącém pilony świątyniowe umieszczał symbol bóztwa wszechmądrego, czy może jedynego Boga, postaciując go wyobrażeniem słońca oskrzydlonego sępiemi lotami.

Ten symbol powtarzający się na każdéj świątyni dla tego właśnie, że go spotykamy wszędzie nasuwa myśl, iż wierzenia starożytnych Egipcyan około jedynego Boga ugruppowane były. Oprócz tego postrzeżenia badawcze czci religijnéj mieszkańców doliny nilowéj, dostarczają jeszcze innych opartych na potrójnych bożyszczach świątyń, dowodzących, iż troistość zjednoczonych przymiotów bóztwa należała do najstarożytniejszych pojęć religijnych. W świątyni poświęconéj bożkowi Amonowi w Karnaku (Theby) znajdujemy dwóch pokrewnych mu przymiotami Mutu i Chunsu. W świątyni w Ombos czczono bożka Sebak-Ra o głowie krokodyla, a z nim razem Hotora i Chunsu. Tak też i w świątyni Isis w Philac ta bogini głównie cieszyła się czcią, dzieląc ją z bratem Osirisem i synem Horusem; tę właśnie część świątyni, gdzie szczególną cześć Izyda odbierała, rycina nasza przedstawia. Miejsce gdzie ta znakomita budowla postawiona została, stanowiąc granicę pomiędzy żyznym Egiptem a Kataraktami Nilu oddzielającemi od niego Etyopię, tłómaczy znaczenie bóztw egipskich; duch to opiekuńczy obfitości i pomyślności w zbiorach owoców ziemi czczony pod postacią Izydy stał na kresach, od których wody nilowe użyźniającym zalewem żywiły i wzbogacały krainę spieki słonecznéj. Zwaliska pałaców faraonów egipskich objaśnione wyobrażeniami pokrywającemi wnętrze grobów i zewnętrzne ściany wszelkich budowli, dają nam wyobrażenie nietylko o rozwijającym się w ciągu czasu przepychu tych wspaniałych budowli, o całém ich wewnętrznem urządzeniu aż do drobnych przyborów codziennego użytku, jakiemi są np. szeregiem w podcieniach wewnętrznych dziedzińców pałacowych ustawione ozdobne naczynia gliniane w trójnogich podstawach, przeznaczone do ochładzania mieszkania ulatującą parą wodną.

Żaden zaiste kraj nie zostawił potomności po sobie tyle ciekawych pamiątek życia swego w dokładnych wyobrażeniach jak Egipt. Ze wzmiankowanych płaskorzeźb do dziś dnia świetnemi barwami błyszczących, można nabrać dokładnego wyobrażenia o całym kilkotysiącoletnim bycie Egipcyan. Od czci religijnéj aż do najpowszedniejszych zajęć codziennych, do rzemiosł, życia rolnika i pasterza, cała ta ogromna skala czynności jednego z najpracowitszych i najdzielniejszych ludów starożytnych dziś po odkryciu sposobu odczytywaniu hieroglifów stoi jak księga otwarta dla badaczów rozwoju ducha ludzkiego w historyi.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na Dziś, pismo zbiorowe, poświęcone literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu krajowemu, handlowi i przemysłowi. Tom I. Kraków 1872, str. 446.

Ciąg dlszy. (Ob. Nr. 39).

Nader zajmujące są „Listy z podróży etnograficznéj po Szlązku" przez Lucyana Malinowskiego. Zawarte w nich wiadomości autor zgromadził podczas podróży po Szlązku, przedsięwziętéj w lecie roku 1869 dla zbadania miejscowych gwar ludowych. W ciągu trzech miesięcy, które przepędził w różnych okolicach Szlązka, chodząc ode wsi do wsi, zapisując powieści i pieśni, zawsze między ludem, miał sposobność przypatrzyć się z blizka jego bytowi i stosunkom. Przy wjeździe do Szlązka górnego, najpierwéj uderzyła go ruchliwa kultura żywiołu niemieckiego, rozpościerająca się kosztem zacofanych chłopków polskich. P. M. z lekka szkicuje Wrocław, w którym śladów polszczyzny mało... Niekiedy tylko można się spotkać z przekręconém nazwiskiem polskiém na szyldzie. Między klassą służących muszą być jednak mówiący po polsku, gdyż

w jednym z kościołów bywa polskie kazanie. Ciekawą osobistością miejscową jest ks. Kraiński. Dawniéj adwokat w Warszawie, następnie żołnierz, w pięćdziesięciu latach życia ksiądz i kaznodzieja w Anglii, dostał się nareszcie do Wrocławia, gdzie mu biskup wyrobił przy uniwersytecie miejsce honorowego lektora języka polskiego. Dr. Kraiński rozwijał był nader rozległą działalność literacką w różnych kierunkach.... Świeżo wygotował grammatykę porównawczą sześćdziesięciu języków, między któremi ma być aż 20 słowiańskich! Grammatyka ta według zdania autora, ma nieskończenie ułatwić naukę języków. Autor ubolewa, że nie może na nią znaleźć wydawcy.

Professor Nehring wykłada po polsku. Audytoryum jego składa się wyłącznie z Polaków, przeważnie z Księztwa Poznańskiego. Szlązacy wcale na te lekcye nie uczęszczają. Górno-szlązacy studyują prawie wyłącznie teologię i po za zakres swych specyalnych studyów rzadko wychodzą.

Zaopatrzony przez Dra Mosbacha cennemi materyałami etnograficzno-statystycznemi i mnóztwem rekomendacyj do wiejskiego duchowieństwa, p. Malinowski wyruszył w towarzystwie zasłużonego p. Karola Miarki do Hut Królewskich (Königshütte). Jest to nowo erygowane miasto, liczące do 18,000 mieszkańców. Oprócz nieznacznéj liczby urzędników górniczych, cała massa ludności jest katolicka. Przed niedawnym czasem założył tu Karol Miarka księgarnię i czytelnię polską i począł wydawać polski tygodnik p. t. „Katolik.” W Hutach Królewskich znaleźć można przedstawicieli wszystkich okolic górnego Szlązka, gdyż zarobki przy fabrykach zgromadzają ze wszystkich stron robotników. Po nabożeństwie i kazaniu w języku polskim wielu ludzi zachodziło do księgarni. Jedni brali „Katolika,” inni „Zwiastuna górno-szlązkiego;” kupowali książki, prawie wyłącznie do nabożeństwa, i płacili za nie nawet po dwa talary. W tym samym czasie zawiązywało się w Hutach towarzystwo, pod nazwą „Kasyno katolickie.” Według statutu „Kasyno” ma być miejscem zabawy dla miejscowéj i okolicznéj ludności polskiéj; — program obejmował koncerta, odczyty, przedstawienia sceniczne, wycieczki wspólne. Pomysł i przeprowadzenie przejął Miarka od cieszyńskiego stowarzyszenia, które już istnieje od lat kilku pod nazwą: „Czytelnia ludowa.” Po zagajeniu „Kasyna” odpowiedniemi przemówieniami, sprzeczał się młody rzemieślnik z miasta z wieśniakiem, jak lepiej mówić: *wy*, czy *oni*, zwracając się do drugiéj osoby. Zdecydowano nakoniec, że *wy* przystoi wieśniakom, a *oni* mieszczanom.

Z Hut Królewskich p. M. wybrał się do Michałkowic, parafii ks. Stabika, który usiłował był stworzyć oddzielny język piśmienny szlązki, oparty na języku ludowym. Usiłowania te rozbiły się, pominąwszy inne (jak np. niechęć ludu samego), już o tę nieprzełamaną trudność, że gwar ludowych na Szlązku jest niezliczona ilość. Byłoby to więc narzecze jednéj okolicy, narzucające się innym. W Michałkowicach, za pośrednictwem ks. Wendziocha, p. M. poznał starego żołnierza Lizonia, który mu opowiedział przytoczoną w „Listach” bajkę ludową głębokiéj starożytności o królu i trzech jego synach, a także nowszą legendę o Napoleonie I. „Bonapart” był szewcki syn, a potém służył w wojsku, nareszcie został królem francuzkim. Chciał się ożenić i to koniecznie z cesarską córką. A że cesarz *pryncesy* dać nie chciał szewckiemu synowi, Bonapart wydał mu wojnę i już do Wiednia chciał wleźć. Wtedy cesarz oddał mu córkę i zrobili zgodę.” Na nieszczęście drugi bajarz Szymon Tomanek był za nadto zgrzybiały i wiecznie zapominał, o czém myślał przed chwilą.

Następnie autor był w Niemieckich Piekarach. Jest to wieś czysto polska; nazwisko zaś swoje otrzymała z tego powodu, że w czasach pierwszych zawiązków osady, sprowadzono tu kilku piekarzy niemców, którzy dostarczali chleba górnikom. W Piekarach p. M. poznał się z Heneczkiem, nakładcą i redaktorem „Zwiastuna górnoszlązkiego.” Tam też był świadkiem zaniesienia skargi przed władzę gminną o przezwanie „Polakiem” i posądzenie o złodziejski *adest*. Po pewnéj perswazyi ze strony podróżnika, skarżący się wyrzekł: „No, to niechta, to już o Polaka mniejsza, ale za co mi on wyzywa, że ja mam złodziejski *adest?...*” Sąd według ustaw nazwę „Polak,” daną z intencyą obrażenia, uznaje za obelgę. Że miano Polaka używa w tych stronach tak złéj opinii, ma to pochodzić ztąd, że z pogranicznych wsi Królestwa chronią się tu wszelkiego rodzaju włóczęgi, których władza chwyta, najczęściéj na gorącym uczynku i z odpowiedniém świadectwem odstawia do granicy. Ztąd termin „złodziejski adest.” Piekary leżą nad samą granicą. O parę kroków leży wioska Kamień. Rozwalone, obszarpane chaty, źle uprawne pola, nędzne twarze mieszkańców, wszystko to stanowi rażący kontrast z bogatemi osadami, zamożnością i dobrobytem Górnoszlązaków.

P. M. przytacza stosunek ludności w regencyi opolskiéj z trzech lat: 1834, 1846 i 1868. Wyjmujemy zeń cyfry ogólniejsze. W 1834 Polaków było 468,700, Niemców 266,400. W 1846 Polaków 568,600, Niemców 364,200. W 1868 Polaków 744,200, Niemców 455,500... Cokolwiek bądź, faktem jest, że po roku 1815 ani jedna polska wieś nie zgermanizowała się. Według opowiadania pana Miarki szkoły ludowe, ale tylko ludowe, wszędzie gdzie ludność jest polska, są polskie, jakkolwiek uczą w nich i po niemiecku. Równie języka polskiego używają księża w kazaniach i naukach. W okręgu bytomskim tylko, gdzie są fabryki, i dla tego przybywają massy robotników ze Szlązka dolnego, są i nauczyciele niemieccy. Jednakże i w tych okolicach szkoły polskie mają przewagę stanowczą. Tak np. w parafii Huty Królewskie przed laty było dwu nauczycieli Niemców, a jeden Polak. Dziś— dwaj Niemcy zostali, a w szkołach polskich uczy przeszło czterdziestu nauczycieli. A jednak autor „Listów,” w inném miejscu powiada: „Że lud, mając bardzo mało poczucia narodowości, skłania się ku niemczyźnie i pragnie, aby się dzieci uczyły języka niemieckiego, jest rzeczą bardzo prawdopodobną. Wśród takich okoliczności, kiedy tylko język niemiecki jest jedynym talizmanem otwierającym młodzieńcowi drogę do zajęcia stanowiska, w jakimkolwiekbądź zawodzie, nic dziwnego, że rodzice pragnęliby dzieciom zapewnić przyszłość najświetniejszą.. W r. 1860 Pszczyna była jeszcze wskroś miastem polskiém. Teraz, według twierdzenia p. Miarki, mało kto mówi tam po polsku... Byłem ciekawy czy zdanie ks. Pressfreunda, że „chłopek górnoszlązki ma język polski, lecz serce pruskie,” jest prawdziwe.... Że służba wojskowa najsilniejszą w tym względzie wywiera propagandę, nie ulega wątpliwości. Opowiadał mi p. Miarka, że nawet ów znany hymn pruski:

„*Ich bin ein Preusse, kennst du meine Farben?*” spolszczono:

„Ja jestem Prusak; czy znasz moje farby?” Gdzieindziéj p. M. przytacza zdanie ks. Mastalskiego (z Radzionkowa): „Jakkolwiek w szkołach nacisk germanizacyjny osłabł, zwłaszcza od czasów ś. p. ks. Bogedajna, radcy szkolnego w regencyi opolskiéj, ślady jednak niemczyzny pozostały nawet w rzeczach tyczących się obrządków religijnych. Tak np. całe niemal pokolenie, które się kształciło przed laty trzydziestu, wiele modlitw odmawia po niemiecku, choć języka tego wcale nie rozumie. Zdarza się często, że przystępujący do spowiedzi całą formułę, któréj się wyuczył w dzieciństwie, wypowiada po niemiecku. Dopiero, kiedy przyjdzie do wyznawania grzechów, zaczyna mówić po polsku... Lud szlązki doznaje wiele uszczerbku z téj przyczyny, że cała procedura sądowa odbywa się w języku niemieckim. Znajdują się wprawdzie przy sądach tłómacze; lecz ci, nie znając najczęściéj języka polskiego piśmiennego, więcéj częstokroć zamieszania sprawiają niż ułatwienia. Jako przykład polskiego języka urzędowego przytaczano mi frazes powszechnie używany: „kusta będą na dół trzaskane,” co ma znaczyć: „koszta będą umorzone” (*die Kosten werden niedergeschlagen*)”... Znajdujemy też w listach p. M. parę drobiazgów wielce wymównych pod względem *słabéj* germanizacyi Szlązka. Tak np. w Katowicach pewna staruszka bardzo ucieszyła się słysząc od podróżnika mowę polską. Wtém wybiega jéj wnuk, i poczciwa babka zaczyna go łajać po niemiecku. W Michałkowicach znowu, podczas obiadu u ks. Wendziocha, przyjechał jakiś proboszcz z sąsiedztwa. Rozmowa toczyła się między księżmi tylko w języku niemieckim. P. M. zapytał przybyłego, czy mówi po polsku, więcéj przez grzeczność, gdyż wątpliwości nie ulegało, że mówić musiał, inaczéj bowiem nie mógłby pełnić obowiązków kapłana wśród ludności czysto polskiéj. „*Ja*, odrzekł, *ich spreche polnisch, aber nur für das Volk.*” Przytoczone ustępy stawiają p. M. w sprzeczności z samym sobą.

(*d. n.*)

KRONIKA.

Zieloność, wonie, kwiaty, śpiew słowików, błękit olśniewający, młodość i życie krążące w powietrzu — wiosna!...

Wszak od tych słów tradycya każe zaczynać majową kronikę...

Ale à propos czytelniku!... zanim kronikarz puści się w tę kwiecistą wędrówkę na pegazie, który tylko co uszczknął młodéj wiosennéj trawki—porozumiejmy się co do jednéj kwestyi.

Jest tradycya czy nie ma tradycyi?... Wszak wyraz ten nasunął nam się z samego początku pod pióro, a to biedne pióro kronikarskie nie wie co z tym fantem zrobić.

Czy należy podkreślić tradycyę, aby w druku biła w oczy, a w nawiasie opieprzyć znaczenie wyrazu jakiemiś ironiczno-pozytywnemi komentarzami, które stanowią podręczny słowniczek wszystkich młodocianych talentów... bawiących się... w zielone?

Czy też streścić całą kwestyę w definicyi Henryka Rzewuskiego, który mówiąc o tradycyi najmniéj wartéj bo rodowéj, i odzywając się do jéj nieprzyjaciela rzekł z drwiącym uśmiechem:

Dokończenie w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 40-go.

— Jeżeli nie miałeś przodka, i sam nie chcesz być przodkiem—czemże jesteś?

Bądź co bądź kronikarz wasz, którego zadaniem notowanie faktów, a nie refleksye filozoficzne, w niemałym jest kłopocie. Bo to najprzód jeśli z wielką pokorą uda się do tutejszych wpływowych organów opinii, i do urzędowych regulatorów przekonań w publiczności, pewny że znajdzie już gotowe i wyczerpujące odpowiedzi na swoje wątpliwości, spostrzeże w jednym takie określenie tradycyi: jestto *pleśń, zgnilizna, próchno, rdza społeczna* i t. p. nie zbyt zalecające porównania, w drugim znów spotka się ze słowami: „Jest bowiem węzeł, którego śmierć jednostek nie zrywa,—jest władza, bez której nie ma postępu, choć sama przez się najmniéj jest postępową..." Autor mówi o tradycyi, dodając później, że „Tylko chorzy na umyśle mogą sądzić że iść za postępem jest to zrywać z przeszłością!...."

Te ostatnie sympatyczne słowa pociągają wprawdzie niżéj podpisanego więcéj aniżeli pierwsze, bo wydają mu niezbite świadectwo zdrowia umysłowego, ale kronikarski obowiązek staje tu poniekąd w sprzeczności z osobistemi sympatyami. W istocie komuż mającemu do czynienia jedynie z faktami nie pomiesza szyków ów wybryk najbardziéj zachowawczéj przedstawicielki tradycyi,—matki natury, która z odwiecznéj, niewzruszonéj swojéj powagi dała się snać wyprowadzić przykładem swéj pogromicielki cywilizacyi, i zapragnęła żyć szybciéj, z pulsującą w tentnach gorączką, bodajby w krótszym czasie rozkosze życia wyczerpać!

Inaczéj niepodobna sobie wytłómaczyć téj przedwczesnéj wabności i kokieteryjnych uśmiechów wiosny, która ręką jeszcze dziecięcia sypie kwiaty przeznaczone na skronie świadoméj swych wdzięków dziewicy.

A zatém zieloność, kwiaty, śpiew słowików, błękit olśniewiający, młodość i życie krążące w powietrzu... wiosna!

I to wszystko od 2-giéj połowy kwietnia, przed narodzeniem maja, któremu chyba już tylko owoce do rozdania pozostały.

A niechże się spieszy, — bo i w czarownéj krainie królestwa roślinnego praktykuje się zasada streszczona w znanym wykrzyku: Le roi est mort, vive le roi!

* * *

Mieliśmy tego niedawno dowód na jednéj z uczęszczanych Willi pod Warszawą. Była to majówka — nie ta majówka z cielęciną pieczoną w koszyku, z kurczętami, których łapy przedziurawiają potłuszczony papier, z piwem bawarskiém w butelkach, z których korki wyskakują od gazu ze zmąconego nektaru, z samowarem rozdmuchiwanym w krzakach za pomocą buta. Tego rodzaju rozkosze wymagają zupełnie odrębnych miejscowości, a przedewszystkiem trawników, na których możnaby wygodnie spać po jedzeniu i jeść po spaniu, bo te są dwa żywioły składowe zabawy, która koniecznie trwać musi całe 12 godzin. Uczta o któréj mamy mówić— była to *partie fine* męzka... śniadanie z góry zamówione, nowalie najwcześniejsze, Mumm w lodzie, czarna kawa, cygara hawańskie, słowem strawa ludzi którzy się szanują. Kiedy tak wesoła gromadka, puszczając wonne kłęby tytuniowe, zeszła do ogrodu, w którym za lat piędziesiąt drzewa dawać będą cień, jakim nas obdarza kapelusz ze sporem rądem, — kiedy umysły rozbujane owém słodkiém przekonaniem, że się drogie rzeczy spożyło, najskłonniejsze były do przyjęcia wrażeń natury odbieranych na ten raz w kształcie promieni słonecznych prostopadle i bez przeszkody na rozgrzane głowy padających, — nagle wszyscy stanęli jak wryci, — a przecież to co się ich oczom przedstawiło bynajmniéj grozy obudzać nie mogło. Na drodze leżał sobie spokojnie, nic nikomu nie szkodząc.... przeszłoroczny kasztan.

Fizyognomia tego kasztana, litość doprawdy wzbudzała. Suchy, pomarszczony, z cerą chorobliwą, przedstawiał cechę takiéj zgrzybiałości, że z każdéj zmarszczki jego śmierć już wyglądała. Całe towarzystwo zaczęło kolejno, a potém jednocześnie kiwać głowami,—niedowarzony jakiś chrabąszcz, którego ojciec bujał się może na kasztanie, kiedy ten jeszcze był kwiatkiem, furknął, uderzył nosem z pogardą o trupa i uleciał gdzieś wysoko. Nareszcie młody jeden człowiek należący do zasmuconego towarzystwa odezwał się gniewnie:

— Panowie! dla czego ten starzec razi nasz wzrok, odbijający obecnie czary wiosny (młodzieniec pisywał do jednego z pism warszawskich, to nam tłómaczy podniosłość stylu jego przemowy). Ja tak jak Wiktor Hugo kocham przeszłość z warunkiem ażeby odżyć nie chciała... proponuję sprawienie temu kasztanowi przyzwoitego pogrzebu!...

Projekt przyjęty został zapamiętałemi okrzykami. Podnoszono się nawzajem w górę, całowano się kolejno, oddając sąsiadowi cygaro do potrzymania, nareszcie przystąpiono do obchodu. Przyrządy i szaty znalazły się u usłużnego gospodarza; na jednych zawisły pofałdowane prześcieradła, na innych udrapowane pledy... sformował się chór żałobny... była i mowa pogrzebowa... wykopano dół i uroczyście pochowano owoc przeszłości... wylawszy dla ostatecznego efektu butelkę szampańskiego na nagrobek kasztana.

Ten ostatni fakt daje dużo do myślenia. Może wesołe towarzystwo sądziło że z tak podlanego kasztana wyrośnie winnica... Optymiści tak ten finał majówki tłómaczą — kronikarz zaś „Wieńca" przestał się od tego czasu dziwić, że w tablicce wagi mózgu zamieszczonéj „w Niwie" w artykule pana Ochorowicza, mózg jakiegoś Kałmuka przewyższa wagą cyfrę jaka wyraża średnią wagę mózgu warszawianina.

* * *

Gdyby też kto potrafił ułożyć skalę uczuć dla całéj Europy, jakaby też cyfra średnia przypadła dla warszawian! Gród nasz ma pod tym względem tak ustaloną opinię, że istotnie zaciekawiłoby wszystkich o ile *serce przeciętne* podane przez naukę odpowiedziałoby tradycyjnym apologiom. Wrazie jeżeli ktokolwiek podjąłby się téj trudnéj pracy, i statystycznie obliczał uderzenia serc warszawskich,—warujemy sobie ażeby do układania tablic nie należeli członkowie Towarzystwa Dobroczynności, bo w takim razie chorobliwe zboczenie uczucia, jakiem jest filantropia publiczna nie mogłoby być dokładnie i jak należy ocenione. Za to Kuryer Warszawski dostarcza przyszłemu badaczowi fakt niezmiernie zajmujący, który notujemy jako niepospolity komentarz do naszych refleksyj o tradycyi: jakiś młody człowiek sprzedał za kilkaset rubli kawał ziemi na Powązkach w któréj spoczywały zwłoki jego rodziców. Sprzedał nie przyparty nędzą jakąś, dławiącą wszelkie względy moralne, sprzedał nie na chleb powszedni i na kąt na poddaszu, ale gwoli udogodnieniu bezczelowéj, próżniaczéj egzystencyi wolnéj jak widać od wszelkich tradycyjnych przesądów.

* * *

Dziwny pomysł uderzył oczy nasze na Powązkach. Cywilizacya z nowożytnemi swemi wynalazkami zagląda już nawet i do tego zakątka wspomnień, starając się na swój sposób utrwalić je dla żyjących. W czarnéj blasze pokrywającéj biały zwykły nagrobek, wpośród napisów i wierszy spostrzegliśmy wykrojone prostokątne okienko, a w nim umieszczoną... fotografię. Przykre uczucie ścisnęło nam serce. Ta popobizna młodéj o piękném obliczu panienki przybranéj w zwykły strój codzienny i modny, raz oko w sposób szczególny. Grób sprawia na nas wrażenie powagi i grozy śmierci przedstawiając zmarłe osoby w zesztywniałych posągowo konturach. Dla tego to rzeźbiarstwo jest jedyną ze sztuk najbardziéj odpowiednich do tych wrażeń wywołanych już samym widokiem ostatniego ludzkiego schronienia. To też ów wizerunek zmarłéj będący taką albumową illustracyą grobu wydaje nam się bardzo niefortunnem zastosowaniem fotografii.

* * *

Darujcie mi czytelnicy że w pośród cudownego procesu zmartwywstania natury, w któréj szalonym pędem krążą młode ożywcze soki, kronikarz prowadzi was po cmentarzu pod pozorem wiosny. Miałby na swoje usprawiedliwienie, znane powszechnie usposobienie odwiedzających Powązki. Każdemu się zdaje że ta cisza łatwoby go do snu wiecznego ukołysała żeby chętnie głowę wraz z obarczającemi ją kłopotami położył pod najcięższym kamieniem grobowca. Ale melancholia ta towarzyszy zwykle nie daléj jak do furty cmentarnéj, przy któréj zaraz wychodzącego życie chwyta w żelazne tryby choćby tylko widokiem żebraków wypisujących sobie pięściami na policzkach teoryę Darwina *walki o byt.* Wypada nam zatem powrócić do areny owych *wyścigów społecznych.* Zastrzegamy że to ostatnie wyrażenie nie do nas należy: wyczytaliśmy je w artykule wstępnym „Niwy" p. t. „Słówko o pewnego rodzaju proletarjacie" a gdy już los tak wydarzył, dodajmy tu nasze słówko kronikarskie. Artykuł o którym mowa sprawia wrażenie anachronizmu i wygląda na szkic który lat dziesięć przynajmniéj spoczywszy w tece, dziś najniespodziańéj wywołuje widma rzeczy i stosunków dawno zapomnianych. Autor powstaje przeciwko pewnemu kierunkowi w wychowaniu młodzieży, który kiedyś mnóstwo zdolności pomarnował na nieprodukcyjną bazgraninę przy biurowym stoliku. Obraz nie ledwie całego pokolenia *kształconego* na urzędników, jest dość wiernym ale odwzorowywa przeszłość i w obec dzisiejszych urządzeń nie może mieć żadnego związku z obecną chwilą. Całe to pokolenie już dziś posiwiało i ciężkim znojem zyskuje sobie na innych drogach chleb powszedni, a same okoliczności niesprzyjają wytworzeniu się na przyszłość podobnego proletoryatu. Nie idzie zatem ażeby autor niemiał słuszności zalecając młodzieży poświęcanie się handlowi i przemysłowi—ale rady sformułowane w nader ogólnikowych desideratach, nie łatwo stosuje się w praktyce. O posyłaniu dzieci do specyalnych zakładów zagranicznych, dla większości klassy średniéj mowy nawet być nie może; dobijanie się zaś czegokolwiek w kraju na drodze przemysłowo-handlowéj, to jest rzucanie się w samą praktykę tylko, w braku odpowiednich instytucyj, dokonywa się zawsze ze szkodą niezbędnego ogólno-ludzkiego wykształ-

cenia, a wątpimy ażeby autor artykułu, dla wyjścia z chwilowego krytycznego położenia, doradzał staranie się o dobrobyt materyalny kosztem obniżenia poziomu umysłowego w kraju. Zdaniem naszem nie tu leży rdzeń kwestyi, i nie proletaryat urzędniczy nam zagraża. Prawo i medycyna wytworzą go wkrótce, jeśli młodzież cisnąca się na te drogi, nie wyleczy się jednocześnie z dwóch chorób: z gorączki stołecznej inaczéj *febris Varsoviensis* zwaną i z partykularzowstrętu,—*provincio phobiavulgaris*. Tysiące wypadków moglibyśmyśmy przytoczyć w których młody człowiek na propozycyę miejsca na prowincyi odpowiedział:

— Nie mogę, ja potrzebuje życia wielkiego miasta, jego ruchu, jego umysłowych zasobów jego...

Już doprawdy niepamiętamy czego on tam więcéj potrzebował, wiemy tylko że nie miał tego czego ludzie najwięcéj zwykle potrzebują... to jest nie miał co jeść.

* * *

Nie wychodząc po za arenę wyścigów społecznych notujemy tu fakt pocieszający dla kobiet które w strasznéj walce o byt za całą broń igłę tylko posiadają. W jednéj z większych drukarni warszawskich kobiety będą przyjmowane na zecerki—doktór zaś Chwat zamierza urządzić pod swoim kierunkiem szkołę felczerską dla kobiet. Są to pierwsze u nas nieśmiałe kroki na drodze *emancypacyi kobiet przez pracę*; niedoprowadzą one nas może do adwokatury kobiecéj i tym podobnych amerykańskich instytucyj, ale wielkiéj części proletaryatu kobiecego dadzą kawał chleba i niezależność od łaski nas... panów świata, a może w skutek częstego zetknięcia się ze sferą poważniejszych obowiązków, i szczyptę głębszego na własne prawa i obowiązki poglądu. Z niecierpliwością oczekujemy téj chwili ażeby niesłyszeć takich rozmów jak następująca.

Ja. Czy pani czytała w Kłosach listy Hodiego o stanowisku kobiety?.

Ona. O czytałam — cudowne!. Ten Proudhon który mówi że nie ma na świecie brzydkiéj kobiety... to wielki człowiek!

Ja. Znam jednak większego, mogę pani zaręczyć.

Ona. Nie może być—któż to taki?

Ja. Michelet który w dziele swojém o „Miłości" wyraźnie napisał, że nie ma staréj kobiety. I oburzony pożegnałem moją interlokutorkę. Pisżże tu o stanowisku kobiety!.

* * *

Dzień ten jednak był feralnym dla mnie, a raczéj dla pojęć moich o dojrzałości umysłowéj kobiet. Tylko co się rozszedłem z admiratorką Proudhona, (pewny jestem, że portret jego i wizeruuek Micheleta znajdą się obok siebie w albumie téj pani) spotkałem drugą znajomą, młodą pannę nader romantycznego usposobienia. Szliśmy przez Elektoralną ulicę, oglądając się kolejno to do góry z kąd nam groziły szkopki z wapnem spuszczane przez mularzy bielących Bank, — to na dół gdzie nam nogi obficie podlewano wodą również ze szkopków funkcyonujących przy naprawie kanału.

— Nareszcie rzekłem, ulica Elektoralna która w swojéj chorobie używała co rok rumianku przez pana Makowieckiego zalecanego, dzisiaj radykalnie jest leczona.

— Więc to takie będą kanały w Warszawie... a gdzież to miasto pod miastem, spytała moja znajoma... a gzież tu wejdzie człowiek?...

— Ależ pani to kanał nieobjęty prawdopodobnie projektowanym systemem...

— Ja myślałam, przerwała smętnie, że literatura nasza będzie miała możność stworzyć drugie *Catacombes de Paris.*

Obstupui! znajoma moja prągnęła kanalizacyi, aby mieć gdzie podziać warszawskiego „Człowieka podziemnego."

Słyszeliście zapewne czytelnicy o różnych poglądach na kanalizacyę: z punktu sanitarnego, ekonomiczno-finansowego,—z punktu pobożnych westchnień do członkowstwa w komitecie kanalizacyi,—ale kanalizacya pod względem belletrystycznym—to zapewne nowość dla was!.

I mówią, że kobiety nie są pomysłowe!

* * *

Kiedy już wycieczka nasza majowa sprowadziła nas na ulicę—a nawet nie daleko jesteśmy od Tłomackiego, przejdźmy około miejscowości na któréj stanąć ma nowa synagoga żydowska. Plac ten ciągnący się frontem od domu p. Bernsteina aż po za domek p. Szellera zawiera, według Izraelity, około 14000 łok. kw. przestrzeni, i sięgać będzie głębokością aż do końca ogrodu resursy kupieckiéj. Ze względu na brak tyloletni świątyni Izraelskiéj stosownéj do wymagań wyznania tak licznie u nas reprezentowanego, spodziewamy się wraz z Izralitą, że komitet budowy ogłosiwszy konkurs na plan nowéj synagogi, przyczyni się do wzniesienia gmachu, odpowiadającego nie tylko głównemu celowi swemu, ale stanowiącego ozdobę miejscowości na któréj ma być wzniesiony.

* * *

Gdybyś mi teraz czytelniku zaproponował wzięcie dorożki z placu teatralnego i urzejechanie się w Aleje, na nasze Pola Elizejskie, do ogrodu botanicznego i do Łazienek, odradzałbym ci szczerze. Bo i co tam nowego zobaczymy?. W ogrodzie wszyscy regulują zegarki, bo ratusz jest tylko młodszym bratém obserwatoryjnego czasomierza. Daléj rozbawiona publiczność obsiada kamienne ocembrowanie akwaryum miejscowego, a niektóre indywidua płci obojéj obrywają bez pokryjomu przed strażnikiem. Nie obruszajmy się na nich czytelniku... lada osieł na Chłodnéj ulicy obgryza drzewka będące publiczną własnością (jak o tém Kuryer Warszawski donosi) czemużby rozumny człowiek nie miał sobie czegoś podobnego pozwolić. Przeszedłszy z ogrodu do Łazienek, a nie ominąwszy pierników karlsbadzkich i wody źródlanej, którym spacerujący pod karą utraty godności Warszawianina, winien oddać hołd należny, pospacerowawszy w miejscach najbardziéj natłoczonych, z pominięciem nierównie piękniejszych ustronnych, przyszedłszy tak jak wszyscy oglądać pałac, wtedy kiedy już drzwi przed nosem zamykają, zjadłszy porcyę lodów w nowéj cukierni, któréj co prawda bardzo brakowało w alejach, wstąpmy lepiéj do Bilsego. Chmara, tłok, różnobarwność, pstrocizna,—a jednak nie tak jakoś tłumno jak dawniéj. Czy to sprawdzają się słowa Precyozy

„Przyjdź drugi raż już zawadzi"

czy temu winna zabawa w parku Pragskim—czy też podziałała protestacya Kuryera przeciwko wysokości ceny za wejście? Wszystko tu może zbiegło się potrosze — ale mojém zdaniem najlepszą protestacyą, jest nic nie pisać, a nie przychodzić, jeśli otrzymana przyjemność mniej jest wartą od pobieranéj zapłaty. Spójrzmy na program... wszystko stare rzeczy. Spieszmy lepiéj do parku, powrócimy tu kiedyś. Słyszałem o projekcie wykonania znakomitego utworu p. t. *Annek-sions-Nachklänge, Patriotische-Monstre-Symphonie* „Odgłosy anneksyjne, symfonja monstrualno-patryotyczna" ofiarowana księciu Bismarkowi.— W olbrzymiém tém dziele oprócz motywów alzacko-lotaryńskich, mają się odzywać temata luksemburgskie, a nawet hollenderskie. Działalność *vereinów* muzycznych, które dawszy początek innym *vereinom*, przyczyniły się do zjednoczenia Niemiec, wieńczy tym sposobem swoje dzieło.

* * *

Co za nie przymuszona wesołość w tym parku pragskim! jakże miłe sans-gêne, co za patryarchalność i prostota, zacząwszy od tego gaju z wierzbiny i brzeziny, a skończywszy na téj kawie, czystéj żytniówce nie sprofanowanéj żadną przymieszką mokki, z ową śmietanką prosto ze studni zbieraną!. Zresztą czuję że pióro nie zdolne tu wyrazić wszystkich tych czarów—wzywam więc pomocy kolegi mego ołówka i odsyłam was do *landszaftu* wyobrażającego niewinne uciechy warszawian w parku. A my tymczasém zawińmy się i podążmy choć na chwilę do ogrodu Saskiego.

* * *

Niech tam sobie kto chce narzeka, a ja powiadam, że nie ma jak ogród saski!. To ognisko życia, serce do którego zbiega najgorętsza krew Warszawy. Ileż tam rozmaitości!... Cóż że kurzu trochę, ale pył ten zmięszany z arystokratycznemi woniami, przenikającemi treny sukien kobiecych; cóż że ci dzieci velocipedami na nogi najeżdżają, ale usłyszysz nie jednokrotnie tak czysto po francuzku wymówione *pardon monsieur*! A strzały w strzelnicy, od których niemowlęta konwulsyj dostają czy za nic liczycie?... Zresztą nawet suknie dam przyjemnie oczy niespodziankami zabawiają. Nie jeden z was siedział w przeszłym roku na sofce obitéj kretoném w kwiaty,— dziś ten sam pokrowiec widzi na swych znajomych paniach... nazywa się to *vêtement à la Pompadour*. Nie jeden także ujrzawszy muszki na róży od kapelusza, pozna że to te same które kiedyś w nosku właścicielki przesiadywały.— A co to jeszcze będzie!. Ktoś z publiczności w naszéj obecności proponował zajęcie trawnika naprzeciw mleczarni, dla gości pożywających biał. Słyszeliśmy o zamiarze urządzenia omnibusu dla dzieci ciągnionego przez kozy. Jest projekt postawienia budki na sprzedaż papierosów — i słusznie, jest już tyle budek na różne użytki!... zacząwszy od Teatru letniego...

* * *

To nam przypomina że ten letni przybytek muz późno w tym roku zostanie otwarty... z powodu wykończania wnętrza które jak wiadomo wiele do życzenia pozostawiało. Tymczasem funkcyonować będzie stary jego rodzic — jeśli wytrzyma konkurencyę z Salamońskim. Wątpliwość ta powstała w naszym umyśle, na widok pustych loż na poranku dla złożonych chorobą artystów Tatarkiewicza i Grzywińskiego. Dowiedzieliśmy się że próżnię tę należy przypisać oszczędności osób, które z góry już pozamawiały loże na benefis Salomońskiego. A jednak tyle razy widziały one „Mazepę" w cyrku, że warto było ujrzeć go choć raz Teatrze. Wprawdzie koni nie ma na scenie, ale jest dramat tak potężny, tak wstrząsający najtajniejsze fibry serdeczne, że niewiadomo kogo pierwéj podziwiać czy Słowackiego który genialną ręką nakreślił ten ponury obraz, czy artystów którzy tak zespolili się z myślą poety. Królikowski i pani Modrzejowska zostawili w umysłach widzów grą swoją nieza-

tarte ślady, których żadne najartystyczniejsze kreacye nie zdołają wygładzić z pamięci. Część muzyczna składająca się z aktu Lukrecyi i z kilku numerów solowych wykonanych przez panią Dowiakowskę i pp. Zarzyckiego i Górskiego dopełniła artystycznéj całości widowiska które smutne dało świadectwo o lekceważeniu przez publiczność pracy artystów tyrających siły i zdrowie ku jéj rozrywce i zabawie.

Na wędrowawscy się po Warszawie, z kolei powinien bym powiedzieć coś o prowincyi—ale zewsząd wiadomości kręcą się około optymistycznych lub pessymistycznych zapatrywań się na przyszłe urodzaje. Szczęściem pierwsze usposobienie przeważa i to nas mieszczuchów pocieszа, bo przy naszéj kompetencyi w naukach przyrodzonych, niepotrafiliśmy rozstrzygnąć téj kwestyi: czy chmura skrzydlatych owadów która przeleciała nad placem teatralnym była szarańczą czy też gromadą koników szklarzami zwanych?

* * *

Czas to podobno pożegnać się z tobą czytelniku aż do przyszłéj kroniki: W chwili gdy to piszę niebo iskrzy się cudownie miljonami gwiazd, to mi przypomina że zanim złożę pióro, winienem cię zawiadomić o projektowanym w Warszawie obchodzie czterechsetletniéj rocznicy urodzin Kopernika. O szczegółach nic jeszcze donieść nie mogę, zależą one naturalnie od pozwolenia władz właściwych, — sądzę jednak że przy współudziale całego kraju, obchód ten odbędzie się ze świetnością odpowiednią olbrzymiemu zwrotowi który nauka wielkiemu naszemu ziomkowi zawdzięcza.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NOWSZE POGLĄDY NA STATYSTYKĘ MORALNOŚCI, G. F. Knappa.

Dokończenie.. (Ob. Nr. 39).

Statystyka moralności znajduje się w tym sporze w położeniu gracza, który stosownie do rezultatu ostatniego postawienia, albo bank zagarnie lub też o kiju żebraczym opuści salę. Zanim jednak potoczyła się fatalna kula, przystępuje do niego przyjaciel i radzi ażeby stawkę cofnął a z małym kapitałem rozpoczął uczciwe zarobkowanie.

W istocie krytyka Niemców za daleko się posunęła. Chciano odrzucić przesadzone pretensye, chciano przeciwstawić parweniuszowskim pojęciom szkoły statystyków, którzy wystąpili z młodocianą bezwzględnością, dojrzałe doświadczenie myślowe starszéj nauki, a fachowi ludzie mogli być tylko wdzięczni Drobishowi za jego łagodność w wykazywaniu chwiejności dotychczasowéj argumentacyi. Ale jednocześnie pozostało po tym sporze ogólne wrażenie, pozbawiające statystykę moralności jéj wyższych celów, i zniżające ją do możliwéj wprawdzie ale bezcelowéj igraszki z cyframi. Jeżeli pojedynczy człowiek jest istotą swobodną, a każda indywidualność stoi niezależnie ze wszystkiemi swemi właściwościami, w takim razie wyrażenie téj indywidualności, będzie podobne do szeptania mechanizmu zegarkowego, a postępki uważane w ogóle i w całości w danéj ludności przypomną nam szmer jaki się o nasze uszy obija gdy wchodzimy do sklepu zegarmistrza. Statystyka moralności, trudniąca się spisywaniem czynów i przedstawianiu ich w ogólnych rezultatach, będzie wtedy to samo znaczyć co usiłowanie naukowego oznaczenia tego szmeru w pewnym danym sklepie zegarmistrza i w pewnym przeciągu czasu,—ale w takim razie przedstawia się natychmiast zniechęcające pytanie: na co to wszystko?.

W takich warunkach trudnem jest zaiste do wytłómaczenia współczucie jakiém zawsze statystyka cieszyła się u publiczności. Nie siląc się bynajmniéj na zastosowanie „filozofii niewiadomego,” możemy jednak postawić przypuszczenie, że dla wiedzy w ogóle, statystyka zdolna jest oddać wyższéj doniosłości usługi. Bezcelowość i próżnia do jakiéj doszli walczący przeciwko systematowi mechanizmu w życiu, dowodzi nie koniecznie, że znajdowali się oni poza naukowym prądem, jak raczéj, że prąd tén zmienił swój kierunek. Cała treść statystyki stracona, ale forma pozostała a może własnie ta forma jest w trakcie wypełnienia się nową treścią.

Sam Drobish przyznał, że statystyka moralności, nie dowodzi wprawdzie panowania zewnętrznych praw nad postępkami, ale w umysłach filozoficznych pozostawia żądło zwątpienia. Więzy astronomicznych analogij zostały wprawdzie rozwiązane, ale jeżeli przypuścimy, że wola ludzka warunkuje się motywami wewnętrznemi, i to motywami wypływającemi z otoczenia jednostki w które indywiduum rzucone jest przez fatum swego urodzenia, to wtedy zamiast praw przymusu zewnętrznego, wytworzy się może rodzaj praw rozwoju wewnętrznego, i znowu, nadłożywszy drogi, przyjdziemy do tego samego uznania pętów i ograniczeń w sferze wolności ludzkiéj. Życie nasze codzienne dostarcza nam dość materyału do fantastycznych obrazów przedstawiających tę barwną plecionkę przyczyn i skutków: to też statystyka moralności może tu być pożądanym środkiem pomocniczym uzupełniającym ilościowo, obrazy jakościowe, pozwalającym dokładnie oznaczyć i ustosunkować działanie pojedynczych okoliczności, i dającym ową silną realistyczną podstawę, która w żadnéj nauce nie jest do pogardzenia. W taki sposób tylko można statystyki użyć za narzędzie do zbadania w jakim stopniu należenie do społeczeństwa ogranicza wolność jednostki; a podobna nauka, jeśliby jeszcze powątpiewać mogła o prawie do niezależnego istnienia, zyskałaby nowy cel i nową odwagę w dążeniu do tego celu.

Statystyka moralności została w tym duchu odżywioną w obszerném dziele teologa dorpackiego Oettingena, które ukazało się w latach 1868 i 1869 i na cały materyał rzuciło zupełnie nowe światło. Być może iż autor szedł w téj trudnéj pracy za pobudkami jakichś potrzeb apologetycznych; określa on zresztą tak jasno i otwarcie swoją pozycyę w granicach chrześciańskiego i kościelnego zapatrywania się na świat, że wyszukiwanie miejsc w których przeważają poglądy biblijne byłoby zbytecznem. Ale byłoby znowu niesprawiedliwością dla tego jedynie wzruszać ramionami i zarzucać dziełu tendencyjną barwę lub też summarycznie je odrzucić. Dawniejsze dzieła były w swoim rodzaju nie mniéj tendencyjnemi—a wolno też zapytać czy przy pracach większéj doniosłości, tendencya nie wchodzi zawsze w pewnéj mierze jako niezbędny pierwiastek?. Jeśli zatem weźmiemy na uwagę szczerość autora, która dostateczny już daje tytuł do zajęcia się pisarzem, to przekonamy się iż Oettingen nie tylko nie pozostał w tyle ze swemi poprzednikami, ale nie jednego nawet prześcignął.

Zapatrywanie się jego na statystykę moralności płodne w rezultata naukowe, byłoby zbyt niedokładnie jako określonem, gdyby się je streściło jedynie jako wystąpienie przeciwko materyalistyczno-mechanicznym poglądom Quetelet'a. Wprawdzie myśl, że wszystkie czynności ludzkie z góry są przepisane przez prawa przyrody, wzbudza zgrozę w autorze, który ani na chwilę nie chce przypuścić aby indywidualność była w zupełności produktem otoczenia, i aby tym sposobem ślad wszelkiéj wolności zaginął. O takim zapatrywaniu się opartem na analogiach fizycznych, Oettingen słusznie powiada, że wystawia ono społeczność ludzką, ze wszystkiemi jéj instytucyami, w najlepszym razie, jako nieświadomy siebie krzew, jako roślinę na któréj indywidua w kształcie pojedynczych listków, zielenią się a następnie odpadają ażeby umierzwić grunt dziejowy. Socyalni owi fizykowie nie pojmują że właśnie najznakomitsze instytucye społeczeństwa, Państwo i Kościół, nie są maszynami do poruszania ciężarów, lecz urządzeniami które byłyby bez celu i logiki, gdyby człowiek nie był istotą w pewnym stopniu wolą obdarzoną.

Ale Oettingen daléj się jeszcze posuwa; zwraca się on również przeciwko tym, którzy uważają człowieka wprawdzie za osobiście wolnego, ale indywiduum oddzielają od wszelkiego związku z powszechnością. Nazywa on powyższy kierunek atomistycznym, i zamieszcza w tem kole piekielnem szkołę ekonomiczną manchesterską. Dla atomisty społeczeństwo jest zbiorowiskiem indywiduów, które w najlepszym razie tylko przypadkowo na siebie działają; wierzy on w „Umowę społeczną” i zna tylko sprężyny egoizmu. Dla przestępcy atomista żywi uczucia wdzięcznego faryzeusza; dla proletaryusza ma usposobienie lepiéj ubranego i odzywa się do niego: „dla czego pierwéj nie umarłeś z głodu?... przyczyniłbyś się do podwyższenia zapłaty za robotę zmniejszonéj reszcie twoich towarzyszy.” Wszyscy pisarze tego gatunku, nienawidzili zawsze statystyki, a Oettingen odgaduje przyczyny téj nienawiści: statystyka moralności wskazując im zawsze na raka ubóstwa masowego, toczącego organizm społeczny, i na nieprzerwany łańcuch zbrodniczych objawów, ślepego nawet przekonywa, że nie idzie tu bynajmniéj o jakieś pojedyncze, oderwane wypadki, ale o szwank i niemoc całego ciała, z którem solidarności nie może się wyrzekać żaden choćby najzdrowszy członek.

Z tego autagonizmu ze wszystkiemi innemi kierunkami, okazuje się już czego pragnie sam Oettingen. Nie chce on wyrzec się bogatéj pełni naturalnego poglądu na życie przy wejściu w dziedzinę nauki. Nie wystarcza mu illustrowanie za pomocą cyfer, suchych myśli z książek czerpanych, i w książkach tylko byt mających. Człowiek jest dla niego istotą wolną, odpowiedzialną, nie unoszącą się wprawdzie niezależnie we wszechświecie monadą, — ale tysiącem faktycznych i prawnych stosunków zrośniętą z olbrzymim pniém społeczeństwa. Z tego punktu zapatrywania się, żąda on, ażeby społeczność głównie była badaną: zamiast fizyki socyalnéj domaga się etyki społecznéj, która jednak winna opierać się jedynie na empirycznych podstawach, a te może jéj zapewnić tylko statystyka moralności. Taki jest nierównie skromniejszy zakres przeznaczony przez Oettingena statystyce.

Ma ona więc na przyszłość, przestać bawić anegdotyczną treścią swoją; nie powinna gromadzić materyałów dla dowiedzenia, że płeć piękna nie jest zwolenniczką broni palnéj, lub dla uczenia że mężczyzni więcéj palą tytuniu aniżeli ko-

biety. Jeżeli chce odzyskać swoje znaczenie musi służyć wyższym zadaniom, które wraz z Oettingenem chętnie etyką społeczną nazwiemy.

Wtedy tylko statystyka moralności stanie się niezbędną podporą wszystkich nauk społecznych. Wszechstronnością treści czerpanéj ciągle z praktyki sądowéj, z doświadczeń urzędów więziennych, i drobnych danych dostarczonych przez policyę, z wykazów ksiąg kościelnych, wytworzy kontrollę z pod któréj nie wymknie się ani jeden ważny objaw życia społecznego. Przeglądając i porządkując materyał, obliczając i ważąc dane, określa ilościową stronę zjawisk, które porównywa z okolicznościami wpływającemi według ich natężenia i wciąga w sferę mierzenia rzeczy do których inaczéj zbliżyćby się nie można było. Z widocznéj prawidłowości prawie wszystkich objawów, wyprowadza naukę że społeczeństwo jest nader zawikłaną i tysiącznemi nićmi połączoną całością, w któréj jednostka wygląda niby oczko w sieci; że nie przedstawia ono ustroju o sztywnych stałych zarysach, ale obraz ciągłéj zmiany, znikania części składowych i zastępowania ich innemi, jak w armiach w których każda luka natychmiast się zapełnia; nareszcie że wszystkie te przekształcenia całości dzieją się niezmiernié wolno. Statystyka pokazuje wprawdzie jednostce że nie warta jest jedności stojącéj na siódmém miejscu w systemacie dziesiętnym, ale też uczy że wielka całość przekształca się tylko przez zmiany w indywiduach. Można być jéj przyjacielem lub wrogiem, można życzyć sobie aby służyła takiemu nie innemu zapatrywaniu się na świat, ale na to bezwarunkowo trzeba się zgodzić, że nauki społeczne zawdzięczają tak pojmowanéj statystyce nowe horyzonty, nowe środki pomocnicze, które dziś przynajmniéj muszą mieć swoje znaczenie kiedy wszystko kieruje się do studyów nad społecznością.

Wprawdzie nowe poglądy na statystykę zawiodły wiele oczekiwań, ale nie wytworzyły na ich miejscu jałowego sceptycyzmu. Jeżeli statystyka moralności nie rozwiązała metafizycznéj zagadki wolności człowieka, dla prostéj przyczyny że ten problemat nie do jéj sfery należy, rozproszyła za to przesądne wierzenia w prawa astronomiczne rządzące postępkami; jeżeli z podobnych powodów nie rozstrzyga sporu między materyalistami i spirytualistami, to wykazuje jednak że część argumentów pierwszych bardzo była przecenioną. Ubocznie znowu i prawie mimowolnie, służy też filozofii w charakterze propagandy, bo wzbudza interes nawet w kołach najzaciętszych realistów, dla kwestyi które człowieka nie opuszczą, jakkolwiek by od nich chciał odwrócić się i uciekać. I jeżeli w dzisiejszych więcéj ograniczonych stosunkach może jéj to na pociechę posłużyć, to niech pamięta że wszelkie błędy i przesady od dawien dawna są właściwo-ściwością tylko tereotyków—praktycy zaś zwykle w tym kierunku działali, do jakiego tamci dopiero późno i ze skruchą się nawracali.

W nowym rozwoju statystyki należałoby zatém rozróżnić trzy stopnie: po Queteletyźmie Buckla z jego umizgami do anologij z mechaniką, następuje szkoła krytyczna, która uważa dotychczasowe dowody za niewystarczające i daje początek technice racyonalnéj. Następnie narzędzie statystyki uznane za niezbędne i skuteczne, posługuje naukom społecznym, w których obalone zostają analogie fizyczne; następuje wreszcie zwrót ku nierównie naturalniejszemu etycznemu poglądowi. Ze statystyką moralności stało się to samo co z ekonomią polityczną, która również odwraca się już od manszesterskiéj szkoły i jéj szablonów doktrynerskich, a chętniéj poświęca się studyom realnych stosunków, nie dla tego aby w nich odszukać prawa natury, lecz ażeby dojść do danych z których porównania możnaby poznać właściwości rozwoju traktowanéj materyi. Ekonomia polityczna popchnięta została na te tory przez wpływy studyów historycznych, statystyka moralności znalazła nową drogę, odważnie wyprowadzając wszystkie następstwa z pierwotnego jéj pojęcia wypływające; opamiętała się jednak przy pomocy studyów filozoficznych i dokonała zbawiennego zwrotu.

Równolegle z temi obalonemi już pojęciami o statystyce moralności i ekonomii politycznéj wytworzyło się i w polityce nihilistyczne nieuznawanie państwa, i zerwanie przez jednostkę wszelkich węzłów łączących ją z ogółem. W Niemczech opamiętanie przyszło dość jeszcze wcześnie,—na gruncie francuzkiem rozkład nie zatrzymał się nawet na strasznych ostatnich katastrofach.

Miałżeby opuszczony nieprawdziwy Queteletyzm, być tylko formą statystyki moralności która możliwą była na ówczesnym stopniu rozwoju ducha francuzkiego, gdy tymczasem w reakcyi niemieckiéj, wystąpił na innym gruncie wyrosły, tylko o kilka dziesiątków lat dojrzalszy pogląd? W takim razie byłby to dowód w duchu prawdziwego Queteletizmu, świadczący jak nawet w nauce, jednostka ściśle jest złączona z rozwojem powszechności.

ROZMAITOŚCI.

— Angielska „Royal Institution” należy do najlepiéj dziś uposażonych i najważniejszych instytucyj naukowych. Rys jéj dziejów skreślił właśnie i wydał niedawno professor Beme Jones. Dzieje te są bardzo ciekawe, szczególniéj też pierwsze fazy, przez jakie ta instytucya przechodziła.

W końcu zeszłego stulecia w roku 1799 w londyńskim szpitalu podrzutków, a późniéj u biskupa Durhamskiego zebrało się grono bogatych ludzi, pragnących urządzić zakład, któryby służył do rozpowszechnienia wszelkich nowych i użytecznych ulepszeń mechanicznych. Projekt zakładu wypracował Benjamin Thompson hr. Rumford, a Bernard jeden z założycieli stowarzyszenia opieki nad ubogimi uzyskał zatwierdzenie nowéj instytucyi dnia 1 lutegu 1799 roku.

W téj pierwiastkowéj ustawie głównym celem było dążenie do rozpowszechnienia wynalazków i nauczanie praktycznych zastósowań nauki. W tym celu miano zebrać wszelkiego rodzaju wzory machin i okazywać je, o ile można, w stanie ruchu, daléj urządzić piece rozmaite do wypalania, kominy, wentylle i wreszcie kuchnie, w którychby kucharki uczyły się gotować i przyrządzać nowe potrawy. Wybudowano nawet salę jadalną, w któréj od czasu do czasu miano zapraszać członków na obiady doświadczalne.

Cały ten kierunek uległ zmianie za zjawieniem sir Humhreya Davy'ego. Uczony ten chemik i fizyk świetnemi swemi prelekcyami, a bardziéj jeszcze wynalazkami sprawił, że Royal Institution przemieniła się na pole czysto naukowe. Przez lat 13 Davy stał na czele téj instytucyi, po nim zaś przez lat 50 obowiązki te spełniał znakomity fizyk Faraday. Dzieło Beme Jonesa na tém się kończy. Obecnie Royal Institution urządza najznakomitsze odczyty z doświadczeniami, jakich nigdzie więcéj nie można odbyć, posiada najzupełniejszy i najbogatszy zbiór przyrządów fizycznych i przyczynia się ustawicznie do kształcenia uczonych przyrodników angielskich.

— W gubernii Włodzimierskiéj, powiecie Aleksandrowskim właściciel kilku tamtejszych zakładów przemysłowych A Baranow urządził pięć szkół dla dzieci, i niedzielne wykłady dla dorosłych.

— Dyrektor pierwszéj w Kairze drukarni, Castelli, nadesłał do biblioteki narodowéj we Florencyi zbiór dzieł arabskich dających dokładne wyobrażenie o ruchu umysłowym w Egipcie. Są to rozprawy z dziedziny religii, filozofii i prawa. Znajdują się też w nich uchwały sądów indyjskich, parę grammatyk i kilka poezyj.

— Uczony Włoski professor Józef Arcoleo wydał w Palermo wypadki z kliniki oftalmicznéj tamtejszego uniwersytetu. Dzieło to zawiera bardzo ciekawe spostrzeżenia nad tak zwanym albinismem. Professor Arcoleo przypisuje to zboczenie natury pokrewieństwu pomiędzy małżonkami.



Pan P. w Piotrkowie. Artykuł pański jako nie na czasie, drukowany nie będzie. Prosimy o oryginalne prace w tym kierunku.

Panu H. J. w Bol. Pisemko, o którém wspominacie, pomimo ogromnéj pamięci (po za obrębem gramatyki i geografii), pomimo ostrych zmysłów (szczególniéj węchu) i twardego jak dąb literackiego sumienia, nie zrozumiało, a raczéj udało że nie rozumie najpospolitszéj przenośni. Gdybyśmy wyrażając dobitniéj myśl naszą, powiedzieli: „napady Rozbickiego w *Przeglądzie pacanowskim* nie zaszkodzą prawdziwéj zasłudze,”—czy i w tenczas zrozumianoby nas dosłownie?... Co do drugiego punktu, nie dziw że potrącenie „miedzianych łbów” wywołuje „echa.”

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 4 (16) Мая 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.